



GILL SANDERSON

**Romantyk
czy podrywacz?**

Tytuł oryginału: The Time is Now



ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Po prostu stój za mną i przypatruj się - powiedziała Jane Cabot, doświadczona instrumentariuszka, do studentki medycyny Mary Barnes. - Postaram się wyjaśnić ci na bieżąco, co i dlaczego robię. Ale jeśli nie zdążę, to pamiętaj, żeby mnie o to potem spytać.

- Muszę zapamiętać tyle różnych rzeczy - odparła Mary z westchnieniem. - Pierwszy raz będę przy operacji; mam nadzieję, że nic mi się nie pomyli. Zwykle na wszelki wypadek noszę ze sobą notatnik.

- To niezły pomysł, ale nie w otoczeniu antyseptycznym. - Jane widziała notatnik, gdy obydwie szorowały ręce, ale oczywiście nie zabrały go do sali operacyjnej. - Nie martw się, wszystko pójdzie dobrze. Spróbuj się odprężyć.

- Doktor Steadman jest podobno bardzo surowy i wymagający...

- Jest po prostu świetnym chirurgiem i pilnuje, żeby wszystko było jak należy. Ale przecież ty dopiero się uczysz.

- Dzień dobry, Jane, dzień dobry, doktorze Lane. - Edmund Steadman wkroczył do sali w towarzystwie dwóch studentów i skinął głową anestezjologowi. Był niskim mężczyzną po pięćdziesiątce, o szerokich ramionach i krzaczastych brwiach. - Histerektomia - rzucił. - Diagnoza: włóknakomięśniak maciczny. - Nie podnosząc wzroku, wyciąg-

nął rękę i gdy Jane podała mu skalpel, dokonał pierwszego nacięcia.

Ta operacja przebiegła bez zakłóceń, za to następna - usunięcie torbieli wokół gruczołu Bartholina - poważnie się opóźniła. Doktor Steadman stał bez słowa, z zaciśniętymi gniewnie ustami, gdy w sali nareszcie pojawił się anestezjolog wraz z pacjentką na wózku.

- Przepraszam, coś, nas zatrzymało - powiedział doktor Lane bez zbytej skruchy w głosie.

- Miło pana widzieć - odrzekł z przekąsem chirurg. - Mogę wreszcie zacząć?

- Edmundzie, poznaj Mary Barnes, studentkę na praktyce - zwróciła się Jane do doktora Steadmana. - Dziś po raz pierwszy była przy operacji i jest trochę wystraszona.

- Pamiętam mój własny pierwszy raz i wiem, że to może być mały wstrząs - odrzekł. - Ale jeśli będziesz słuchać siostry Cabot, to zostaniesz tak dobrą instrumentariuszką jak ona.

Gdy odszedł, Jane usłyszała, jak Mary oddycha z ulgą.

- No widzisz, on też jest człowiekiem - rzekła z uśmiechem. - Chodź, zdejmijmy te zielone ubranka. Ty zameldujesz się z powrotem na oddziale, a ja skoczę do stołówki.

- Jesteś wobec niego taka bezpośrednia. Ja bym chyba nie śmiała.

Na korytarzu przyłączył się do nich Henry Lane.

- Po prostu długo razem pracujemy, więc wiele mi wybacza - odparła Jane, wzruszając ramionami.

- Jeśli mowa o Steadmanie, to wybacza ci więcej niż komukolwiek innemu - wtrącił złośliwie Lane. Był krępy męczyzną przed czterdziestką, na którego twarzy malował

się wyraz wiecznego niezadowolenia. - Dobrze, że niedługo stąd odchodzę. Zrobił taką aferę z mojego małego niedopatrzenia, jakby Bóg wie co się stało.

- Miej pretensje do siebie, Henry, nie do niego. Żaden kompetentny anestezyjolog nie dopuściłby do takiej sytuacji.

- Kwestionujesz mój profesjonalizm? A zresztą, co ty tam wiesz, jesteś tylko instrumentariuszką.

- Nie „tylko” instrumentariuszką, ale dobrą instrumentariuszką - poprawiła go ostro. - Wszyscy mamy swoje zadania w sali operacyjnej i byłoby dobrze, gdybyśmy mogli na sobie polegać.

Rzuciwszy jej gniewne spojrzenie, Henry jak niepyszny odwrócił się i odszedł bez słowa, co bardzo ucieszyło Jane, bo za nim nie przepadała. Wprawdzie nie była kłótniwa z natury, lecz wiedziała, że aby przetrwać na tym świecie, trzeba umieć bronić swego i obstawać przy tym, w co się wierzy.

Wszedłszy do stołówki, rozejrzała się wokół, ale nie dostrzegła nikogo znajomego. Kupiła sobie sałatkę i usiadła przy pierwszym wolnym stoliku. Pięć minut później przysiadł się do niej Edmund Steadman.

- Kalorie, Edmundzie, kalorie! - Z udawaną zgrozą patrzyła na jego tackę: duży kawał pieczeni wołowej, fura ziemniaków, podwójna porcja puddingu.

- Muszę się solidnie posilić. Po południu mamy mnóstwo roboty. - Edmund półzartem powiedział kiedyś Jane, że stołówka jest nie żołądkiem, tylko mózgiem szpitala i że można się w niej zapoznać ze wszystkimi najświeższymi ploteczkami. - Pewnie już słyszałaś, że Lane odchodzi? Wreszcie się od niego uwolnię. Ten facet to zagrożenie dla pacjentów.

- Ciszej, Edmundzie, zachowuj się jak profesjonalista. -

W głosie Jane pobrzmiwała lekka przygana. - Nie powinie-
neś narzekać na innych lekarzy w obecności personelu.

- Masz rację, ale irytuje mnie jego niekompetencja. - Ze
smakiem jadł pieczeń. - Wiesz, strasznie brakuje mi Judy.

- Mnie też. Dzwoniłam do niej wczoraj wieczorem. Pro-
siła, żeby cię pozdrowić.

Judy Parsons była anestezjologiem w zespole Edmunda,
zanim zastąpił ją Lane. Ona, Edmund i Jane tworzyli zgraną
trójkę i niemal rozumieli się bez słowa. Niestety, Judy poszła
na roczny urlop macierzyński.

- Wiadomo już, kto zastąpi Henry'ego? - spytała Jane.

- Niejaki David Kershaw ze szpitala Przemienienia Pań-
skiego w Birmingham. Podobno znakomity. Mam nadzieję,
że się z nim dogadamy i znów stworzymy świetny zespół.

O szóstej Jane przebrała się w spodnie, sweterek i żakiet,
i energicznym krokiem ruszyła do budynku kotłowni, gdzie
pozostawiła rower pod czujnym okiem zawiadującego nią
Herberta. Zawsze, gdy pogoda była ładna, unikała jeżdżenia
samochodem. Po ciężkim dniu pracy w sali operacyjnej ro-
werowa przejażdżka do odległego o niespełna osiem kilome-
trów Challis, gdzie mieszkała, była dla niej świetnym cwi-
czeniem fizycznym, a zarazem odprężeniem.

Przywitała się z Herbertem, wsiadła na rower i włożyła czer-
wony kask. Robiła to od czasu, gdy uczestniczyła w operacji
czternastoletniego rowerzysty, który doznał pęknięcia czaszki.

Jadąc na skróty, szybko dotarła do domu, który wynajmo-
wała wraz z dwiema koleżankami: Sue, położną, i Megan,
młodsza lekarką na oddziale ginekologii. Mieszkały razem od
dwóch lat i wszystkie trzy pracowały w tym samym szpitalu.

Jane otworzyła drzwi wejściowe i uśmiechnęła się, gdyż cały przedpokój udekorowany był kolorowymi balonami; do największego, czerwonego, jej współlokatorki przyczepiły szeroką srebrną wstążkę z napisem: „Wszystkiego najlepszego, 29-letnia jubilatko!”

Słyszając, jak Jane wchodzi, Sue i Megan wybiegły z kuchni, aby serdecznie ją powitać.

- Tobie wstęp do kuchni jest dzisiaj wzbroniony - zwróciła się do niej Sue, całując ją w policzek. - Marsz do salonu na drinka!

- Jedzonko już prawie gotowe - dorzuciła Megan, całując ją w drugi policzek. - 'A, i żebyś nie zapomniała: rano przyszła do ciebie paczka z Londynu.

Jane usiadła na kanapie i przyjęła od Sue kieliszek białego wina. Następnie uśmiechnęła się, rozpoznając na opakowanej w ładny papier paczce charakter pisma brata. Otworzywszy ją, znalazła w środku trzy płyty kompaktowe, kartkę urodzinową podpisaną słowami: „Żyj sto lat, Siostrzo Instrumentariuszko!” i zdjęcie młodego człowieka o kręconych włosach, ubranego w fartuch lekarski. Brat Jane, Peter, był stażystą w jednym z londyńskich szpitali.

- Tego lata zrobił dyplom - powiedziała z dumą Jane, pokazując zdjęcie koleżankom.

- Fantastyczny chłopak - orzekła Megan. - Zazdroszczę ci, Jane. Ja nie mam rodzeństwa.

- A ja mam brata, ale straszny z niego nicpoń - wtrąciła Sue. - No, czas, żebyś obejrzała prezenty od nas.

Od Megan Jane dostała ciepły wełniany szalik, doskonale nadający się na rowerowe przejażdżki w chłodne jesienne wieczory. Sue natomiast podarowała jej czarną haleczkę z je-

dwabiu. Śmiejąc się, Jane przerzuciła szalik przez ramię i przyłożyła do piersi halkę.

- W obydwu ci do twarzy. Ale ta haleczka jest bardzo seksy - zauważyła Megan.

- Szkoda tylko, że nikt poza mną jej nie zobaczy - westchnęła Jane. - W każdym razie, nie mężczyzna...

- Daj sobie czas - poradziła jej Sue. - Zobaczysz, na pewno znajdziesz właściwego faceta. A na razie chodźmy do kuchni coś zjeść. Ale apetycznie pachnie!

Zjadły pyszne risotto z kurczaka w sosie curry i wypily po jeszcze jednym kieliszku wina. Potem Sue wyjęła z lodówki tort z dwudziestoma dziewięcioma świeczkami.

- Zamknij oczy, pomyśl jakieś życzenie i zdmuchnij świeczki - poleciła jubilatce. - Tylko uważaj, nie przypal sobie rzes!

Jane przymknęła powieki, odczekała chwilę i głęboko zaczerpnąwszy powietrza, za pierwszym razem zdmuchnęła wszystkie świeczki. Wznosząc radosne okrzyki, koleżanki zaklaskały w dłonie.

- Już nigdy więcej nie będę obchodzić urodzin - oznajmiła Jane, patrząc, jak Sue zgrabnie kroi tort. - Żeby utrzymać tyle świeczek, tort musiałby być wielki jak...

- C.o ty opowiadasz! - przerwała jej Sue. - Wciąż jesteś dzieckiem, wszystko dopiero przed tobą... Widzę, że Megan znów napełniła kieliszki; a więc, twoje zdrowie, Jane!

- W przyszłym roku stuknie mi trzydziecia - stwierdziła Jane ponuro. - Mój zegar biologiczny tyka jak oszalały. Ten rok to moja ostatnia szansa. Albo znajdę mężczyznę swego życia, albo zostanę starą panną. Wszyscy młodzi lekarze będą drżeć ze strachu przede mną.

- Już drżą - zauważyła Megan. - Przed tobą i przed Steadmanem.

- To znakomity chirurg. - Jane natychmiast stanęła w jego obronie. - Chce tylko, żeby wszyscy sumiennie pracowali. Chyba nie żąda zbyt wiele?

- Pogadajmy lepiej o twoich facetach - zaproponowała Sue. - Co na przykład z Erikiem Thingy? Wiesz, tym z radiologii. Często widywałam was w stołówce.

- Już się z nim nie spotykam - odparła Jane. - Szukał służącej, a nie towarzyszkę życia. Chciał, żebym się do niego wprowadziła i prała mu skarpetki. Wystarczył mi jeden rzut oka na jego mieszkanie, żebym uświadomiła sobie, że nigdy go nie ucywilizuję.

- No a ten prawnik? - spytała Megan. - Ten, co przyjeżdżał tu wielkim czarnym samochodem.

- Reggie? - zamyśliła się Jane. - Sądziś, że mogłabym poślubić kogoś, kto ma na imię Reggie? Nie miałam okazji tego sprawdzić, ale założę się, że sypia w jedwabnej piżamie w paski. On szukał damy, wytwornej i nobliwej. Nie, nie, piękne dzięki, wystarczy mi moja praca. Wciąż słyszę o ludziach, którzy zadowolają się byle czym, a potem cierpią przez resztę życia.

Nie zamierzam podzielać ich losu. Albo Ten Jeden Jedyńy, albo w ogóle żaden. I na razie wygląda na to, że żaden...

Nagle zadzwonił telefon. Dziewczęta miały w domu aż trzy aparaty, toteż Jane niemal natychmiast podniosła słuchawkę w kuchni.

- To ty, Jane? - usłyszała kobiecy głos.

- Tak.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! Poznajesz, kto mówi?

- Jasne, witaj, Anno! Miło mi, że pamiętałaś. - Anna Deeds była przyjaciółką Jane, która niespełna rok wcześniej wyjechała do pracy w szpitalu w Birmingham. - Co tam u ciebie słychać?

- Wszystko po staremu. I ja sama też się starzeję, niestety! Wspominałam właśnie, jak to w zeszłym roku śpiewałaś tę piosenkę Marleny Dietrich, no więc nie mogłam nie zadzwonić. Czy dziś też ją zaśpiewasz?

- Chyba jestem już za stara na to, żeby się tak wygłupiać...

- Nonsens! Pamiętasz tego doktora z Ameryki? Z wrażenia aż spadł ze stołka!

- Jakże mogłabym zapomnieć! Trochę za dużo wypił i myślał, że go podrywam. Przez następny miesiąc uganiał się za mną po szpitalu.

- Jeśli pójdziesz dziś do klubu, to założę się, że cię namówią na odstawienie tego numeru. Żałuję, że mnie tam nie będzie.

- Ja też... Czekał, czekał, coś sobie uświadomiłam. Pracujesz w szpitalu Przemienienia. Ma przyjechać do nas do pracy anestezjolog od was. Nazywa się David... Earnshaw?

- Kershaw - poprawiła ją szybko Anna. - Tak, zgadza się. - W jej głosie słychać było... napięcie? zakłopotanie? smutek?

- Więc go znasz. Jaki on jest?

- To bardzo dobry lekarz. Nie będziecie z nim mieli problemów... na płaszczyźnie zawodowej. Jest bystry, sumienny, oddany pracy. Nasi chirurdzy żałują, że odchodzi.

- Mam wrażenie, że czegoś mi nie mówisz, Anno. No już, usłyszmy najgorsze.

- Jest uderzająco przystojny, wręcz piękny... niczym grecki bóg. W życiu nie widziałam cudowniej szego mężczyzny.

- Jest żonaty? A jeśli nie, to czemu?

- Nie, nie jest żonaty. I twierdzi, że nie chce być. Interesują go wyłącznie luźne znajomości, i wcale się z tym nie kryje. Mówi to prosto z mostu, na samym początku.

- Rozumiem, że tobie też to powiedział?

- Owszem. - Anna westchnęła do słuchawki. -I nie mnie jednej.

- Drań z niego, co?

- Nie, wcale nie! Uprzedzał mnie, żebym się zbytnio nie angażowała, ale... stało się inaczej. Jeśli wpadłam w kłopoty, to wyłącznie z własnej winy.

- Akurat - mruknęła Jane. - Słyszałam już te gadki o „luźnych” znajomościach... No dobra, to teraz opowiedz mi o pracy.

Porozmawiały jeszcze chwilę, a potem Jane odłożyła słuchawkę.

- Dzwoniła Anna Deeds, prawda? - domyśliła się Sue.

- Co tam u niej?

- W porządku - odparła Jane, zamyślona. - Przyjeżdża do nas anestezjolog, z którym pracowała. Istny pożeracz serc...

- Ty sobie z nim poradzisz - uspokoiła ją Megan. - Niech Bóg ma w opiece amanta, który zechce cię poderwać...

- Nie wystarczy „poradzić sobie” z nim. W sali operacyjnej pracujemy jako zespół. Powinniśmy znać się na wylot i dogadywać bez słów. Z Judy pracowało nam się fantastycznie, ale Henry Lane bywał nieznośny. Edmund naprawdę go nie lubi, i wcale mu się nie dziwię. Potrzebujemy kogoś, kto potrafi się dostroić.

- Zobaczysz, wszystko jakoś się ułoży. -Megan podniosła się z krzesła. - Przyjęcie skończone, bierzmy się za zmywanie.

Sue szła wieczorem do pracy, ale Jane udało się namówić Megan, żeby wybrała się z nią do klubu.

Stojąc przed lustrem, Jane rozplotła warkocz i potrząsnęła włosami - gęstymi, złocistymi, długimi aż za pas. Upiąwszy je w niedbały kok, wzięła prysznic, a następnie znów je rozpuściła, wyszczotkowała i podpięła z boków dwiema ozdobnymi spinkami. Włożyła białą bawełnianą bluzeczkę z długim rękawem i czerwoną rozkloszowaną spódnicę. Delikatnie się umalowała i jeszcze raz spojrzała w lustro. Musiała przyznać, że całkiem nieźle...

- Wyglądasz cudownie - orzekła Megan, szykując się do wyjścia. - Coś mi się zdaje, że będziesz się świetnie bawić.

- Zamierzam bawić się na całego - zapewniła ją Jane z uśmiechem.

Razem pojechały taksówką do klubu na przedmieściu, w którym Jane niemal w każdą sobotę grywała w hokeja. Gdy weszły do starego, drewnianego budynku, bar był pełen ludzi. Kilkanaście osób tańczyło na parkiecie przy dźwiękach rytmicznej muzyki, puszczanej przez miejscowego dyskdżokeja.

Jane wynajęła na ten wieczór salę taneczną. Zamówiła też pieczone kielbaski, kanapki z szynką i żółtym serem oraz piwo. Na przyjęcie zaprosiła przyjaciół ze szpitala i z drużyny hokejowej.

Goście powitali ją radosnymi okrzykami i zgodnym chórem odśpiewali jej „Sto lat!” Potem każdy z osobna złożył jej życzenia i serdecznie ją ucałował. Zabawa rozpoczęła się na dobre i Jane - zgodnie z tym, co sobie obiecała - bawiła

się do upadłego. Wypiła drinka, tańczyła, śmiała się i rozmawiała.

Po półgodzinie w klubie pojawił się Edmund Steadman. Jane oczywiście go zaprosiła, ale szczerze mówiąc, nie spodziewała się, że przyjdzie. Ucieszyła się na jego widok, a zarazem trochę zdziwiła, bo nigdy dotąd nie widziała go bez krawata i w dżinsach.

- Edmundzie, zaskakujesz mnie! Chodź, postawię ci drinka.
- Nie ma mowy, to twoje święto. Czego się napijesz?
- Już dość dziś wypiałam, dzięki. Ale jeśli chcesz, mogę z tobą zatańczyć.
- Z największą przyjemnością.

Mimo że Edmund nie był już młodzieniaszkiem, znakomicie dawał sobie radę na parkiecie. Odańczył z Jane zabójczego rock and rolla, po którym obojgu zabrakło tchu.

- Jesteś niesamowity - wysapała Jane, gdy usiedli przy barze. - Gdzieś ty się nauczył tak poruszać?
- Nawet ja byłem kiedyś młody i, jeśli się nie mylę, miało to miejsce w latach sześćdziesiątych. Ale nie mówmy już o mnie, chciałbym wręczyć ci prezent. - Wyjął z kieszeni spodni malutkie drewniane pudełeczko z orientalnym wzorem na wieczku. - Jak pewnie pamiętasz, kilka miesięcy temu byłem na Dalekim Wschodzie. Przywiozłem stamtąd parę drobiazgów, i spośród nich dla ciebie wybrałem to. Żeby uprzedzić twoje ewentualne wątpliwości: Marion wie, że chcę ci to podarować, nie ma nic przeciwko temu i przesyła ci najlepsze życzenia. Wpadłaby osobiście, ale wiesz, jak z nią jest.

Jane poznała kiedyś Marion, żonę Edmunda, z którą od razu przypadły sobie do gustu. W odróżnieniu od męża, Ma-

rión była szczuplutka i łagodna w obejściu. Niestety, cierpiała na artretyzm.

Otworzywszy pudeleczek, Jane ujrzała srebrny łańcuszek z wisiorkiem z jadeitu w kształcie miniaturowego smoka.

- Jest prześliczny!

- Cieszę się, że ci się podoba. Wiedz, że jesteś najlepszą instrumentariuszką, jaką znam. Chodź, zatańczymy jeszcze raz, a potem zwrócę cię twoim młodemu przyjacielom.

Na zakończenie przyjęcia Jane, gorąco namawiana przez gości, którzy niemal siłą postawili ją na kontuarze baru, odstawiła swój popisowy numer, wcielając się w postać śpiewającej Marleny Dietrich. I okazało się, że wcale nie jest jeszcze za stara na takie „wyglupy”!

Około jedenastej Jane i Megan wsiadły do zamówionej wcześniej taksówki, która zawiozła je z powrotem do domu.

- Fantastycznie śpiewasz - oświadczyła Megan. - Mogłabyś być zawodową piosenkarką.

- Jak wiesz, śpiewam w szpitalnym chórze, ale zawodowo wolę się zajmować pielęgniarstwem. Dobrze się bawiłaś?

- Owszem. Ale najważniejsze, że ty miło spędziłaś ten wieczór.

- W końcu to były moje urodziny. Ostatnie przed trzydziestką...

Czy ta magiczna liczba zmieni coś w moim życiu? - pomyślała. A jeśli tak, to na lepsze czy na gorsze?

- Wczorajszy wieczór był fantastyczny - powiedziała nazajutrz przy śniadaniu Megan. - Jak to jest mieć dwadzieścia dziewięć lat?

- Mniej więcej tak samo, jak mieć dwadzieścia osiem. No ale następny rok przyniesie jakiś przełom... Chcesz jeszcze herbaty?

Ponownie nastawiając wodę, Jane usłyszała metaliczny odgłos zamykającej się skrzynki na listy.

Wszystkie trzy dostawały wiele kartek, listów i medycznych folderów reklamowych, więc i teraz Jane wyjęła ze skrzynki gruby plik korespondencji. Jej uwagę natychmiast przykuła duża koperta z jej własnym nazwiskiem napisanym na maszynie. Na jej widok poczuła się nieswojo.

Gdy wróciła do kuchni, Megan była już pod prysznicem. W samotności kilkakrotnie obróciła w dłoniach kopertę. Potem, z wahaniem, w końcu ją otworzyła. W środku znalazła dużą kartkę papieru listowego i jeszcze jedną, mniejszą kopertę, która była zalakowana. Na kartce, w lewym górnym rogu, zobaczyła pieczętkę agencji. Dwukrotnie przeczytała krótki tekst i zbladła jak ściana. Potrząsnęła zalakowaną kopertą, jakby chcąc się upewnić, czy coś w niej jest. Następnie i ją, i wydruk schowała z powrotem do dużej koperty.

Była zadowolona, że nikt nie widział jej reakcji ani nawet nie wiedział, że dostała tę przesyłkę. Szybko poszła do swojego pokoju i wepchnęła kopertę do szuflady z bielizną.

Takie zachowanie nie było w jej stylu: z reguły umiała stawić czoło problemom, gdy tylko się pojawiały. Ale nie tym razem. Tym razem potrzebuje czasu. Musi oswoić się z myślą, że być może...

ROZDZIAŁ DRUGI

- Davidzie, przedstawiam ci Jane Cabot, najlepszą instrumentariuszkę w całej Wielkiej Brytanii. Jane, poznaj doktora Davida Kershaw, naszego nowego anestezjologa.

Skończywszy szorować ręce, Jane odwróciła się i zobaczyła Edmunda, któremu towarzyszył nie znany jej mężczyzna. Obaj mieli na sobie zielone stroje operacyjne.

- Miło mi cię poznać, Jane. - Nowy anestezjolog wyciągnął do niej rękę. - Mam nadzieję, że będzie nam się dobrze współpracowało.

Przypomniała sobie swoją rozmowę telefoniczną z Anną Deeds, która delikatnie ostrzegła ją przed tym mężczyzną. Ale i tak na jego widok dosłownie odebrało jej mowę. Rzeczywiście, był więcej niż przystojny - był po prostu piękny. Najbardziej urodziwy mężczyzna, jakiego w życiu widziała. Nawet głos miał piękny - łagodny i kojący. Nim samym mógłby wprowadzać pacjentki w stan narkozy...

Bez słowa uściśniła jego wyciągniętą dłoń.

Jakieś metr dziewięćdziesiąt wzrostu, wysportowana sylwetka, szerokie ramiona. No i te złociste włosy! I niemal granatowe oczy. I pięknie wykrojone usta, okalające śnieżnobiałe zęby. A w dodatku - lekko opalony.

Młode pielęgniarki oszaleją, pomyślała Jane ponuro.

- Witam, doktorze Kershaw - odezwała się w końcu. - Mam nadzieję, że się panu u nas spodoba.

- Dotąd spotkałem się z bardzo życzliwym przyjęciem. Ale proszę mówić mi po imieniu. Przy stole operacyjnym każdy z nas odgrywa swoją rolę i wszyscy jesteśmy jednakowo ważni. - Zerknął z ukosa na Edmunda. - Oczywiście, z wyjątkiem chirurga, który jest najważniejszy.

Edmund i Jane szczerze się roześmiali. Dobrze, że ten cud natury ma poczucie humoru, przemknęło jej przez głowę. W trudnych momentach przy operacji bywa ono nieocenione, czego niejednokrotnie dowiodła Judy Parsons. Oby ich nowy współpracownik godnie ją zastąpił.

W drzwiach pojawiła się głowa młodego asystenta.

- Jest pan zajęty, doktorze Steadman? Mamy mały problem z tym formularzem...

- Problem z formularzem, też coś! - prychnął Edmund.

- Jestem chirurgiem, nie gryziorkiem. Muszę... - Zobaczył, jak Jane kręci głową, patrząc na niego z dezaprobatą.

- No dobrze, już idę - westchnął. - Wrócę za pięć minut.

Gdy David i Jane zostali sami, oboje wyczuli jakąś ledwie uchwytną zmianę w atmosferze. Jane przyłapała się na tym, że wpatruje się w niego szeroko otwartymi z zachwytu oczami, ale natychmiast przypomniała sobie smutek w głosie Anny i postanowiła trochę się z nim podrażnić.

- Jesteś żonaty, Davidzie? Jeśli tak, to chętnie poznamy twoją żonę. Pracownicy naszego szpitala prowadzą bujne życie towarzyskie.

- Nie, nie jestem żonaty. Nie mam też narzeczonej, partnerki, dziewczyny ani przyjaciółki. Przyjechałem tu, żeby skupić się na pracy. - Zauważyła, że palcami lewej dłoni

pociera zagłębienie prawej. - Żeby razem pracować, musimy się lepiej poznać, więc chciałbym, żebyś trochę mi o sobie opowiedziała - mówił dalej. - Jesteś zamężna albo może zaręczona? Albo masz tak zwanego partnera?

Zaskoczył ją tym pytaniem. Ale ponieważ przed chwilą zadała mu podobne, uznała, że miał prawo o to spytać.

- Nie, obecnie nie jestem z nikim związana. Jestem wolna jak ptak.

- To dziwne. Tak atrakcyjna dziewczyna jak ty już od dawna powinna być zajęta. Ale może... nadal szukasz właściwego mężczyzny?

Jego słowa mile polectały jej próżność, ale uznała, że czas zmienić temat.

- Gdzie mieszkasz?

- Na razie w przyszpitalnym hotelu, ale niedługo kupuję mieszkanie w Ransome's Wharf. Wprowadzę się tam za jakieś dwa tygodnie.

Z wrażenia zamrugła oczami - Ransome's Wharf było ekskluzywnym osiedlem nad rzeką. Mieszkania tam były drogie, a okna większości z nich wychodziły na przepiękne wzgórze.

- To wspaniale. Na pewno będzie ci tam wygodnie.

- Chciałbym wreszcie mieć coś swojego, zapuścić gdzieś korzenie.

- Masz bardzo melodyjny głos - zauważyła ni stąd, ni zowąd. - Umiesz śpiewać?

- Nucę tylko przy goleniu. A i wtedy pod nosem.

- Ja śpiewam w chórze szpitalnym. Ciągłe nam brakuje ładnych męskich głosów. - Może przyszedłbyś na przesłuchanie?

- Nie, lepiej nie - odparł z uśmiechem, potrząsając głową. - Po pierwsze, muszę się wdrożyć do pracy. Po drugie, nigdy nie występowałem publicznie. Po trzecie, nie chcę należeć do chóru. Bycie częścią zespołu tu, w szpitalu, bardzo mi odpowiada. Ale prywatnie jestem raczej samotnikiem.

- Nie lubisz towarzystwa?

- Lubię, ale na moich warunkach. Nie przepadam za przymusowo szampańską zabawą na tłocznych przyjęciach. Lubię spotkania kameralne, w grupie trzech, czterech osób.

Jane przypomniała sobie tłumy na swoim przyjęciu urodzinowym i to, jak dobrze się wtedy bawiła. Chyba więc nie ma z Davidem zbyt wiele wspólnego?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, wrócił do nich Edmund.

- Problem z formularzem rozwiązany. Za dziesięć minut zaczynamy operację.

- A więc za dziesięć minut będę w operacyjnej - powiedział David. - Do zobaczenia, Jane.

Zabrzmiało to niemal jak... intymne zaproszenie!

Przygotowując się, myślała o Davidzie. Tak, jest wspaniałą, ale nie o to chodzi. Widziała w życiu wielu przystojnych mężczyzn, którzy zdawali sobie sprawę z wrażenia, jakie ich uroda wywiera na kobietach, i większość z nich po prostu to wykorzystywała. Coś mówiło jej, że David jest inny. I to jej się w nim podobało. Ale nagle przypomniała sobie znów o Annie. Nie ulegało wątpliwości, że David zranił Annę, nawet jeśli ona sama nie miała o to do niego pretensji. Więc może wcale nie jest lepszy od tamtych mężczyzn, a jedynie sprytniejszy?

Tego dnia David świetnie się spisał przy wszystkich operacjach i wracając do domu na rowerze, Jane doszła do wniosku

sku, że w pracy nie będzie z nim kłopotów. Zauważyła, że spodobał się także Edmundowi, co dobrze wróżyło całej stanowiącej zespół trójce. Ale jaka będzie jej relacja z Davidem prywatnie? Czy w ogóle się do siebie zbliżą?

Wtem usłyszała za sobą warkot silnika i obejrzała się. Przez okno srebrzystego wozu sportowego patrzył na nią... David!

Był ubrany w białą koszulę bez krawata i czarną kurtkę ze skóry. Jakoś pasował do swojego samochodu i widać było, że czuje się w nim znakomicie.

- Wstyd mi za siebie - zwrócił się do niej. - Dużo gadam o zdrowym trybie życia i potrzebie zażywania ruchu, ale to ty pedałujesz na rowerze, a ja jadę tym srebrzystym potworem.

- Widzę, że to porsche, ukochana marka mojego małego braciszka.

- Twojego małego braciszka? Siostró Cabot, zaczynam się czuć jak młokos! Może kiedyś wybrałabyś się ze mną na przejażdżkę? Pokazałabyś mi okolicę. I moglibyśmy wstąpić gdzieś na drinka.

- Nie da się ukryć, że nie tracisz czasu. Przecież dopiero co się tu zjawiłeś!

- Nikogo tu nie znam - odrzekł, wruszając ramionami.

- Będziemy razem pracować i może trochę się zaprzyjaźnimy. W każdym razie, mam taką nadzieję... Po prostu chciałbym z tobą pogadać gdzieś poza szpitalem. A przecież sama mi powiedziałaś, że nie jesteś z nikim związana.

W pierwszej chwili chciała odmówić, ale...

- No dobrze, zgoda. Kiedy mój mały braciszek się dowie, że jechałam tą srebrną strzałą, chyba pęknie z zazdrości.

- Wobec tego bardzo się cieszę. - Nie wychwyciła w jego tonie cienia szowinistycznej męskiej satysfakcji. - No to kiedy się umówimy?

- Może w środę, późnym popołudniem? O ile nie zdarzy się nic nieprzewidzianego.

- Dobrze, środa mi odpowiada. Ale sam wiem, że w szpitalu często zdarzają się nieprzewidziane rzeczy. - Uśmiechnął się do niej. - Naprawdę się cieszę, Jane. Obgadamy się w środę rano. - Uniósł rękę na pożegnanie i odjechał.

Zrobiło jej się przyjemnie i ciepło na duszy, od razu jednak pomyślała o tym, ile kobiet przed nią nabrało się na ten czarujący uśmiech. Postanowiła być bardzo ostrożną. Dojechawszy do domu, zastała Sue pracującą w ogrodzie. Namówiła ją na wspólne wypicie kawy.

- No i jak ten nowy anestezjolog? - spytała Sue, otwierając paczkę kruchych ciasteczek w czekoladzie. - Rzeczywiście wygląda jak grecki bóg?

- Przede wszystkim jest dobrym lekarzem i przypadł do gustu Edmundowi. Tak, faktycznie jest taki urodziwy, jak opisała go Anna. I umówiłam się z nim na środę.

- Jesteś pewna, że to dobry pomysł? Szybki Bill z niego, nie ma co.

- To zapewne niedobry pomysł, ale jestem już dużą dziewczynką i umiem się o siebie zatroszczyć. A poza tym, zostałam ostrzeżona. Nasza znajomość będzie niezobowiązująca, całkowicie na moich warunkach.

- Coś mi się zdaje, że trafiła kosa na kamień - orzekła Sue z triumfalnym uśmiechem.

Ale Jane miała co do tego niejakię wątpliwości.

Obojgu udało się wykroić czas w środę po południu.

- Przyjeżdż po mnie do domu - poprosiła go rano. - Prędzej czy później szpital i tak będzie huczał od plotek, ale nie ułatwiamy im zadania.

- Bardzo mi to odpowiada. Nie cierpię, kiedy o mnie plotkują.

Wróciwszy do domu po lunchu, Jane od razu zaczęła się zastanawiać, co na siebie włożyć. Doszła do wniosku, że największą swobodę ruchów przy wsiadaniu i wysiadaniu ze sportowego wozu Davida zapewnią jej czarne sztruksowe spodnie. Dobrała do nich czarną bawełnianą bluzkę, a na wszelki wypadek wzięła granatowy sweter z moheru. Rozpuściła włosy i starannie wyszczotkowała je przed lustrem. Potem przysiadła na łóżku i zaczęła przekonywać samą siebie, że spotkanie z Davidem to nic szczególnego.

Gdy usłyszała dzwonek, chciała powstrzymać się od rzucaenia się pędem do drzwi. Uznała jednak, że to dziecinada, i szybko pobiegła je otworzyć.

David znów miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, ale tym razem był w ciemnoniebieskiej koszuli i spodniach. Ciemne kolory ładnie kontrastowały z burzą jego jasnych włosów.

- O rany, twoje włosy! - wykrzyknął na widok Jane.

- Nie miałem pojęcia, że są takie długie. I jakie ładne!

- Wiem, że w moim zawodzie to niezbyt praktyczne, ale nauczyłam się mocno je splatać i upinać pod czepkiem. Zawsze nosiłam długie włosy i dobrze się w nich czuję. Kiedy je rozpuszczę, czuję się naprawdę wolna.

- Jak przetykane złotem... - Ujął w dwa palce niesforny kosmyk.

- Popatrz na nas - roześmiała się. - Oboje ubrani na czar-

no i z włosami koloru blond. Można by pomyśleć, że jesteśmy rodzeństwem.

- No nie, tylko nie to...

Podeszli do samochodu i wpuścił ją pierwszą do środka. Oboje starannie zapięli pasy. Siedzenia były lekko odchyłone do tyłu, więc nie siedziało się na nich, tylko półleżało. Mięka skórzana tapicerka wydała się Jane bardzo elegancka. W zadziwienie wprawiły ją niezliczone tarcze, przyciski i światełka na desce rozdzielczej. Nawet warkot silnika brzmiał jakoś szykownie.

Już wcześniej uzgodnili, że wpadną na pizzę do pubu „Pod Czarnym Lwem”.

- Pilotować cię? - spytała teraz Jane. - Trzeba skrócić w lewo na główną drogę, a potem...

- Dzięki, nie ma potrzeby. Sprawdziłem wszystko na mapie i zapamiętałem trasę. Wyciągnij się wygodnie i ciesz się jazdą. Pokażę ci, na co stać tego potwora.

Szybka jazda spodobała jej się tak bardzo, że śmiała się i piszczala jak dziecko.

- Lepiej niż w jakimś na przykład fordziku, co? - spytał po chwili milczenia. - Mało się odzywam, kiedy prowadzę, bo nie umiem robić dobrze dwóch rzeczy naraz. Może nastawisz sobie jakąś kasetę?

Miał duży wybór taśm, ale Jane puściła w końcu tę, która była już w magnetofonie. Ku jej zdziwieniu samochód wypełniły dźwięki chorału gregoriańskiego.

- Zaskoczona? A czego się spodziewałaś?

- Chyba czegoś w rodzaju piosenek miłosnych Sinatry.

- Muszę się skupić na prowadzeniu, więc nie skomentuję tego.

Gdy, zwiedziwszy okolicę, wreszcie zaparkowali przed pubem, powoli zapadał już zmrok. Usiedli w zacisznym miejscu w kącie sali i zaczęli wczytywać się w menu. Wybór pizz był tak bogaty, że podjęcie decyzji zajęło im parę minut. Postanowili też wypić trochę wina.

Kieliszki szybko pojawiły się na stole, ale żadne z nich nie podniosło swego do ust. Zamiast tego siedzieli w milczeniu, uważnie przypatrując się sobie nawzajem. Wreszcie Jane uśmiechnęła się z leciutkim przekąsem i powiedziała słodkim głosem:

- Domyślałem się, że zaraz mnie ostrzeżesz. Powiesz, że interesują cię wyłącznie luźne znajomości i że nie powinnam się zbytnio angażować. Że nie wchodzi w grę żaden trwały związek, taki jak na przykład małżeństwo. Ale że mimo to możemy się miło zabawić.

Zamrugnął powiekami i sięgnął po wino. I natychmiast się zakrztusił. Włożył rękę do kieszeni w poszukiwaniu chusteczki.

- - Widzę, że starasz się grzecznie mnie zniechęcić. Na litość boską, czemu to powiedziałaś?

- A co, czy nie zamierzałaś uraczyć mnie czymś w tym stylu? Jeżeli nie dziś, to może za tydzień? Jeśli nie mam racji, wyprowadź mnie z błędu, a wówczas cię przeproszę.

- Mam wrażenie, że po prostu mnie sprawdzasz.

- Nie całkiem... Przez przypadek słyszałam już o tobie to i owo. Jedna z moich przyjaciółek pracuje w szpitalu w Birmingham. Nazywa się Anna Deeds. Pamiętasz ją?

- Owszem, bardzo dobrze. Ale myślałem, że rozstaliśmy się w przyjaźni.

- Bo rzeczywiście tak było. Anna wciąż cię lubi. Po-

wiedziała mi, że ją uprzedzałeś; że od początku byłeś z nią szczerzy.

- Więc czemu wykorzystujesz to przeciwko mnie?

- Ależ skąd, nic podobnego! Przecież umówiłam się z tobą. I miło mi w twoim towarzystwie. Odwaliłam nawet za ciebie kawałek najczarniejszej roboty, mówiąc o „luźnej znajomości”. Ale jesteś wystarczająco inteligentny, by wiedzieć, że takie znajomości są praktycznie niemożliwe. Mimo twoich otwartych ostrzeżeń, kobiety, które mają z tobą do czynienia, i tak mogą się zaangażować.

- Tak, sam też o tym myślałem. Dlatego za każdym razem jest mi przykro. Ale lubię kobiety i ich towarzystwo. I sądzę, że jesteś wobec mnie odrobinę niesprawiedliwa.

- Tylko błagam, nie przekonuj mnie, że to nie twoja wina, że one cierpią.

- Nawet nie zamierzam. Wiem, że to... w dużej mierze moja wina. - Spojrzał na nią uważnie. - Wiesz, dziwnie się czuję. Tak jakbym musiał się przed tobą usprawiedliwić. Nie przywykłem do tego.

- Pewnie wolałbyś, żeby kobiety były bardziej podobne do mężczyzn? Ale to jest, niestety, nierealne. Istnieją między nami istotne różnice.

- Wiem o tym, Jane, i rozumiem to. Przykro mi, że cię rozczarowałem... że nie jestem taki, jak byś chciała. Zjemy pizzę i odwiezę cię do domu.

- A czemuż to? Przecież świetnie się z sobą czujemy. Chcę tego samego, co i ty. Posiedzieć tu i pogadać.

- Ale...

Kelner postawił przed nimi pizzę na drewnianych talerzach - apetycznie pachnące i już pokrojone na kawałki.

- Wybawiony przez pizzę - mruknął pod nosem David.
- Czy jedząc te pyszności, możemy zawrzeć rozejm?
- Oczywiście. Zobacz, jakie wielkie te krewetki!

Po pizzy zamówili równie smaczne lody i kawę po włosku.

- Przepraszam, jeśli byłam trochę nieprzyjemna - odezwała się pojednawczo Jane.

- Nic nie szkodzi. To co, będziemy przyjaciółmi?
- Naturalnie, już prawie nimi jesteśmy. Co nie znaczy, że nie masz żadnych irytujących wad, o których na razie nic nie wiem. Zresztą i ja mam swoje wady, które mogą cię denerwować.

- Nie, to nie to. Ty mnie raczej... zadziwiasz.

- A więc wypijmy za zgodę! - Uniosła kieliszek do góry.

- Jeśli będziemy mieli ochotę, to będziemy się czasem spotykać. Jesteś niewątpliwie najatrakcyjniejszym wolnym mężczyzną w szpitalu, więc dziewczyny będą mi zazdrościć.

- Miło mi, że na coś się przydam - mruknął bez entuzjazmu.

- Prawdę mówiąc, zjawiłeś się w samą porę. W zeszłym tygodniu skończyłam dwadzieścia dziewięć lat. Oznajmiłam koleżankom, że daję sobie rok na wyjście za mąż. Ale małżeństwo z tobą jest chyba niewskazane, co?

- Niewskazane? Dlaczego?

- Dlatego, że kiepski z ciebie kandydat na męża. Prawda?

- Znów mnie atakujesz?

- Skądże! Po prostu jestem z tobą tak samo szczerą, jak ty zamierzałeś być ze mną.

Gestem ręki David przywołał kelnera.

- Zamówię sobie lemoniadę, bo prowadzę, ale przydałaby mi się podwójna brandy. Jeszcze nigdy nie spotkałem

kogoś takiego jak ty. Wywołujesz we mnie... niepokój.
Chcesz jeszcze wina?

- Dzięki. Ja też poproszę o lemoniadę.

Znowu zauważyła, że palcami lewej dłoni pociera zagłębienie prawej. Może robi to, gdy jest zdenerwowany?

Przy lemoniadzie gawędzili o najróżniejszych sprawach. Okazało się, że David ma specyficzne, wyrafinowane poczucie humoru, o co Jane już wcześniej go podejrzewała. W pewnej chwili rozmowa nieuchronnie zeszła na tematy medyczne. David szczególnie interesował się anestezjologią paliatywną. Miał nawet nadzieję, że uda mu się założyć w szpitalu coś w rodzaju małego ośrodka kontroli bólu.

Jane uśmiechnęła się, słysząc niekłamany entuzjazm w jego głosie.

- Kiedy chciałbyś zacząć?

- Na małą skalę od razu. Czy, jeśli będzie taka możliwość, miałabyś ochotę się przyłączyć?

- Chyba tak - odparła ostrożnie. - To mogłoby być interesujące. Ale teraz już się zbieramy, zrobiło się późno.

- Nie wytarguję jeszcze z pół godziny twojego czasu i towarzystwa?

- Nie, naprawdę muszę wracać. Robota na mnie czeka.

- O tej porze? - zdziwił się.

- Pracuję jako wolontariuszka w telefonie zaufania - odrzekła po chwili wahania. - Wiesz, jeśli ktoś ma myśli samobójcze albo trudne problemy osobiste, a nie ma się do kogo zwrócić, to dzwoni do telefonu zaufania, żeby się wygadać. I jeśli ma szczęście, trafia na mnie.

- A więc za dnia jesteś pielęgniarką, a wieczorami sama-

rytanką? Mało ci nieszczęścia, z którym musisz się zmagać w szpitalu?

- Nie przesadzaj, wcale tak nie haruję. A myśl, że być może komuś pomogłam, naprawdę dodaje mi skrzydeł. Ale są i takie telefony, że czujesz, że nic nie możesz zrobić. Wtedy ogarnia mnie to straszne poczucie bezsilności...

- Rozumiem. W takim razie, lepiej rzeczywiście już chodźmy. Dokąd cię zawieźć?

- Do domu. Wezmę samochód i wrócę nim potem z dyżuru.

W drodze powrotnej niewiele rozmawiali, wsłuchując się w dźwięki pięknej muzyki Haendla. Gdy dotarli na miejsce, odprowadził ją pod drzwi, a ona szybko pocałowała go na pożegnanie.

- Dzięki za fajnie spędzony czas - powiedziała szczerze.

- Musimy to kiedyś powtórzyć.

- Wiem, że zobaczymy się jutro w pracy, ale to się właściwie nie liczy. Kiedy konkretnie moglibyśmy się spotkać?

- Do końca tygodnia jestem zajęta, a w sobotę mam mecz. Ale zaraz po meczu możemy napić się czegoś w klubie.

- Mecz? W klubie? Nic nie rozumiem...

- W wolne weekendy grywam w klubie w hokeja na trawie. - Jeszcze raz go pocałowała. - Jutro ci o tym opowiem.

Kwadrans później odebrała pierwszy telefon i cała zamieniła się w słuch. W głębi serca była zadowolona, że na razie nie musi myśleć o swoich własnych problemach.

Gdy późnym wieczorem wróciła do domu, zastała w kuchni Megan, która piła właśnie kakao.

- Jak ci się udała pierwsza randka?

- Całkiem, całkiem. Jedliśmy pyszną pizzę i lody.

- Nie denerwuj mnie, dobrze wiesz, że nie o to pytam. Jaki on jest? Jak ci się z nim rozmawiało?

Jane wiedziała, że musi sobie to wszystko przeanalizować, a dotąd nie miała na to czasu. Powiedziała więc tylko:

- Polubiłam go, naprawdę. Ale wydaje mi się, że jest w nim jakiś... smutek. Choć nie mam pojęcia, z jakiego powodu.

- Jestem pewna, że to od niego wyciągniesz. No, idę spać. Dobranoc.

Jane także zrobiła sobie -kakao i zabrała je do swojego pokoju. Popijając je w łóżku, wróciła myślami do telefonów, które wcześniej odebrała. Zastanawiała się, czy samo słuchanie może pomóc innym ludziom rozwiązać ich problemy. Chciała wierzyć, że tak.

Nagle podjęła decyzję. Wskoczyła z łóżka i z szuflady na bieliznę wyciągnęła małą zalakowaną kopertę. Rozdarła ją i przeczytała tekst, który znajdował się w środku. Tak jak poprzednio, wyraźnie pobladła. Przeczytała go ponownie.

Przez godzinę leżała z otwartymi oczyma, wpatrując się w sufit. Wiedziała, że tej nocy szybko nie zaśnie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Wychodząc z pokoju Lucy Todd - sześćdziesięcioletniej pacjentki z nerwobólem nerwu trójdzielnego, u której zamierzał zastosować kurację akupunkturą - David wpadł prosto na Jane.

- Dobrze, że cię spotykam - zwrócił się do niej z tym swoim czarującym uśmiechem. - Chcę ci jeszcze raz podziękować za wczorajszy wieczór. A jak udał się dyżur przy telefonie?

- Tego się nigdy do końca nie wie. Moja rola polega wyłącznie na słuchaniu. Ale chcę wierzyć, że to pomaga.

- Gdy będzie więcej czasu, opowiesz mi o tym dokładnie, dobrze? - W jego głosie słychać było nieklamane zainteresowanie.

- Naturalnie, czemu nie... A co do naszej małej wycieczki, to i mnie się ona spodobała.

- Czy to znaczy, że podtrzymujesz swoją propozycję? Że w sobotę możemy napić się czegoś po meczu? Ale czekaj, najpierw najważniejsze: co robisz w niedzielę?

- Odpowiadam na pytanie numer dwa: otóż w niedzielę jestem gospodynią domową. Sprzątam, piore, prasuję, myję samochód itepe. Aha, i jeszcze mam próbę chóru.

- Jednym słowem, dzień pełen zajęć. No a co z tą sobotą?

Wyjaśniła mu, gdzie znajduje się klub i sąsiadujące z nim boisko.

- Możesz przyjść na mecz albo tylko na drinka po meczu. Jak chcesz.

- A może zaprosiłbym cię dokądś na kolację?

- W klubie sprzedają hot dogi, placuszki, i takie tam różne. Po meczu zawsze spędzam trochę czasu z koleżankami z drużyny. Ale to chyba nie twoje klimaty.

- Mógłbym...

- No, wreszcie cię znalazłem, Davidzie.

Jane usłyszała za sobą głos Edmunda. Uśmiechnąwszy się do obydwu panów, ruszyła do pokoju pielęgniarek, tak by tamci mogli spokojnie porozmawiać.

W sobotę po południu mżyło i wiał nieprzyjemny wiatr. W powietrzu czuło się nadchodzącą zimę.

W dziesiątej minucie pierwszej połowy Jane udało się strzelić gola. Była z siebie bardzo dumna i ucieszyła się, słysząc oklaski nielicznie zgromadzonych kibiców. Odwróciwszy się, dostrzegła wśród nich... Davida! Był ubrany w długi czarny prochowiec i śmieszny kapelusik, ale i tak natychmiast go rozpoznała. Zrobiło jej się miło, i pomachała do niego ręką. W taką pogodę niewiele dziewcząt mogło liczyć na obecność swoich adoratorów na meczu.

Gra była zaciekle, choć zgodna z przepisami. W pewnym momencie dwie zawodniczki ostro się starły i jedna z nich zaczęła po chwili schodzić z boiska, przygarbiona, z wyrazem bólu na twarzy. Sędzia zagwizdał, przerywając mecz.

- Potrzebny jest lekarz - powiedział.

Pozostałe zawodniczki otoczyły kontuzjowaną dziewczycy-

nę. Jane zobaczyła, że ma ona dwa zwichnięte palce: odsta-
wały do tyłu pod jakimś nedorzecznym kątem.

- Jestem lekarzem - usłyszała obok siebie spokojny głos Davida. - Mogę w czymś pomóc?

David ujął dziewczynę za rękę i delikatnie przejechał dło-
nią po jej kontuzjowanych palcach.

- Nazywam się David Kershaw. Nie martw się, to okrop-
nie wygląda, ale zaraz sobie z tym poradzimy. Jak ci na
imię?

- Barbara. Auu!

- Aż tak cię bolało? Chyba nie?

- No... nie, nie tak bardzo - odparła Barbara bez prze-
konania. Ze zdziwieniem spojrzała na normalnie już wyglą-
dające palce, które David błyskawicznie nastawił.

- Nie graj już dzisiaj. I w najbliższym czasie przyjdź do
szpitala na kontrolę, żeby upewnić się, czy nie ma złamania.
Przydałaby ci się też fizjoterapia. Ponieważ teraz możesz być
w szoku, najlepiej idź do klubu i wypij mocno posłodzoną
herbatę. W razie czego zawołaj mnie. Pobędę tu jeszcze
trochę.

Kiedy trenerka odprowadzała Barbarę do szatni, dziew-
częta wymieniły między sobą pytające spojrzenia.

- To co, gramy dalej?

- Po to tu przyszłyśmy.

Niestety, drużyna Jane przegrała, czym ona sama niezbyt
się przejęła. Po meczu od razu podbiegła do Davida.

- Tak się cieszę, że przyszedłeś! Daj mr dwadzieścia mi-
nut na doprowadzenie się do porządku. Przebiorę się i zaraz
przyjdę do ciebie. Podobał ci się mecz?

- Owszem. Szkoda tylko, że przegralyscie.

- Gra się nie po to, żeby wygrać, tylko po to, żeby czerpać radość z gry. No a one były godnymi przeciwniczkami, zasłużyły na to zwycięstwo.

- Nie wszyscy dostają to, na co zasługują - zauważył sentencjonalnie: - Co ci zamówić?

- Piwo. Do zobaczenia za parę minut.

Wzięła szybki prysznic i przebrała się w dżinsowy kombinizon. Żałowała, że nie ma na sobie czegoś bardziej... kobiecego. Ale zaraz powiedziała sobie, że przecież David jest tylko znajomym. Mimo to dużo staranniej niż zwykle wyszczotkowała włosy.

Jo Gale, koleżanka z drużyny, przybiegła z baru i jak burza wpadła do przebieralni.

- Jane, ten cudowny facet mówi, że czeka na ciebie! To twój chłopak?

- Masz na myśli Davida? Tylko z nim pracuję - odparła Jane obojętnym tonem. - Zaprosiłam go tu na drinka.

- Od razu wiedziałam, że to niemożliwe, żeby taki facet na nikogo nie czekał - jęknęła Jo. - Chciałam być uprzejma, więc spytałam, czy mogę coś dla niego zrobić. A tu okazuje się, że on chce ciebie. Wiesz, Jane, naprawdę cię nie cierpię! Nie masz tam w szpitalu więcej takich cudów natury?

Przyprowadź nam ich gęsiego w przyszłym tygodniu.

- Zobaczę, co się da zrobić. Dzięki, że się nim zająłeś - mruknęła ironicznie.

Gdy weszła do baru, ujrzała dokładnie to, czego się spodziewała: David siedział przy stoliku, otoczony wianuszkami wielbicielek. Na jej widok podniósł się z miejsca. Odniosła wrażenie, że na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi.

- Kupiłem ci piwo - zwrócił się do niej. - A te miłe panie

zadbały o to, żebym nie czuł się tu samotny. - Dziewczęta niechętnie się pożegnały i odeszły.

- Lubisz sport? - spytała Jane.

- Niespecjalnie. Nie należę do tych, którzy z wypiekami na twarzy całymi godzinami oglądają go w telewizji. Jeśli już, to wolę go uprawiać niż oglądać. Ale na ciebie patrzyłem z przyjemnością. Wkładasz w to dużo serca, prawda?

- Albo gram dobrze, albo wcale - odrzekła zdecydowanie. - Należysz do jakiejś drużyny?

- Nie. Kiedyś uprawiałem bieg na przelaj i biegałem na sto metrów. Mówiłem ci, że jestem samotnikiem.

- Tak. I tylko w szpitalu nie przeszkadza ci, że jesteś w zespole. W którym wszyscy jesteśmy Jednakowo ważni". Tak to ująłeś.

- Z wyjątkiem Edmunda. Ma wysokie mniemanie o sobie i sądzę, że nie bez racji. Widziałas może...

Do ich stolika bezceremonialnie przysiadła się trenerka, której towarzyszyła dziewczyna będąca kapitanem drużyny Jane.

- Cześć, jestem Louise - oznajmiła trenerka. - A to jest Margaret. Jeszcze raz dzięki za poratowanie Barbary. Szczególnie mówiąc, przydałby się nam tu lekarz na stałe.

- Przykro mi, ale pracuję w szpitalu, więc moja dyspozycyjność jest już ograniczona - odrzekł David uprzejmie.

- Tak czy owak, miło było poznać. A teraz musimy na chwilę pożyczyć Jane.

Przeprosiwszy Davida, na moment odeszła z nimi od stolika, żeby obgadać „kwestie strategiczne”.

- Jeśli chcesz, możemy już iść - zaproponowała wróciwszy. - Naprawdę fajnie, że wpadłeś. Jak ci się podoba nasz klub?

- Jest w porządku, tak jak i twoje koleżanki. Ale to z tobą chciałem się zobaczyć. Przyjechałem taksówką, bo myślałem, że może wybierzemy się na jakąś kolację z winem.

- Ojej, tak mi przykro, ale naprawdę nie mogę. Zgodziłam się kogoś zastąpić w telefonie zaufania. Nie dam rady się z tego wycofać, choć nie ukrywam, że bardzo bym chciała...

Na jego twarzy odmalowało się rozczarowanie, lecz szybko się uśmiechnął.

- Jutro też jest dzień. To co, podrzucisz mnie swoim fordzikiem?

- Ciężka ta nasza robota, ale satysfakcjonująca - zauważył David, rozprostowując kości na korytarzu. - Słuchaj, Jane wiem, że prowadzisz bujne życie towarzyskie, ale czy po pracy nie udałoby ci się wykroić ze dwóch godzinek dla mnie?

- „Bujne życie towarzyskie”, akurat. Kpisz sobie ze mnie, prawda?

- Wcale nie. Przynajmniej nie tym razem.

- No więc owszem, jestem wolna do wpół do ósmej. Potem mam próbę chóru. A co ci chodzi po głowie?

- Nie powiem, chcę ci zrobić niespodziankę. Jesteś dziś samochodem?

- Tak, bo rano padało. I chyba dalej pada.

- Więc wróć nim do domu, a ja pojedę za tobą. Nie musisz się przebierać, nie pójdziemy w żadne eleganckie miejsce. Tam, dokąd pójdziemy, dopiero będzie elegancko.

- Co ty kombinujesz?

- Przekonasz się w swoim czasie.

- Jako student sam miałem fordę - wyznał, gdy przesiadła się już do jego samochodu. - I nie powiem, dobrze się spisywał przez sześć lat, dopóki go nie zaniedbałem.

- Opowiesz mi trochę o początkach swojej kariery?

- Nie ma o czym opowiadać. Studia, egzaminy końcowe, i od razu szpital.

Mimo że mówił obojętnym tonem, odniosła wrażenie, że coś przed nią ukrywa.

Po opuszczeniu Challis jechali jakieś pół godziny, by dotrzeć w końcu do Ransome's Wharf.

- To tutaj kupujesz mieszkanie - przypomniało się jej.

- Właśnie dostałem klucze i pomyślałem, że może chciałabyś obejrzeć mój nowy apartament. Poza tym potrzebuję twojej rady.

Z zaciekawieniem spojrzała na duży budynek z czerwonej cegły, który kiedyś służył za magazyn, a w którym teraz mieściło się kilka ładnych mieszkań. Otworzywszy bramę, portier wpuścił ich na podwórze, z którego skręcili do podziemnego garażu. Potem, wjechawszy windą na najwyższe piętro, ruszyli korytarzem wyłożonym bordowym dywanem. Po chwili David otworzył drzwi swojego mieszkania.

- Jeszcze nie umeblowane - uprzedził. - Oczywiście z wyjątkiem kuchni, która od początku jest świetnie wyposażona. Ale całą resztę muszę dopiero kupić, i bardzo Uczę na twoją pomoc.

W pierwszym odruchu ucieszyła się: urządzenie tego miejsca będzie dla niej wielką frajdą! Ale zaraz opadły ją wątpliwości: czemu prosi o pomoc akurat ją?

- Spróbuję ci pomóc - odrzekła niepewnie. - Ale wiesz, że mogą nam się podobać różne rzeczy? A przecież to twoje mieszkanie, tylko ty będziesz tu mieszkać.

- Tak, tylko ja. Ale mam nadzieję, że będziesz mnie odwiedzać.

Gdy zapalili światła, najpierw zachwyciła się salonem - przestronnym, jasnym, z parkietem i oknami po dwóch stronach, z których jedno wychodziło na ratusz, a drugie na rzekę i malownicze pasmo wzgórz.

- Chodź, wyjdziemy na balkon - zaproponował.

Stojąc na jesiennym chłodzie, wdychała zapach rzeki.

- Ależ tu pięknie - powiedziała, czując na ramieniu jego ciepłą dłoń. - Będziesz mógł stąd oglądać zachody słońca.

- Jeśli znajdę na to czas... No więc jak byś urządziła ten pokój?

- Przede wszystkim, niewiele mebli. Jakaś kanapa, niski stolik, fotel, pod ścianą małe półki na książki.

- Są tu dwie sypialnie. Myślałem, żeby tę mniejszą wykorzystać na pokój do pracy. Wiesz, komputer, czasopisma medyczne, i tak dalej. Taki kącik, w którym mógłbym bałaganić.

- Dobry pomysł. A gdzie zamierzasz jadać?

- W kuchni. Jest tam na to specjalnie wydzielone miejsce. A wielkich przyjęć i tak nie będę wydawał; wiesz, że nie lubię tłoku.

- Czyli że w salonie będziesz odpoczywał: słuchał muzyki, czytał, oglądał telewizję.

- Wspomniałaś o kanapie i fotelu. Czarna skórzana tapicerka?

- To w stylu lat osiemdziesiątych. Ale wiesz, co by ci się jeszcze przydało? Fotel na biegunach.

- Do niego pasowałyby obicia ze sztruksu. A co powiesz na krzeselka w kwiatki i perkalowe zasłonki?

Miał nieodgadniony wyraz twarzy, więc nie wiedziała, czy kpi.

- Sam musisz zdecydować - odrzekła wymijająco.

- No proszę, doradź mi coś - powiedział, lekko marszcząc brwi. - Jaki dywan? Jakie kotary? I w jakich kolorach? Nie mam o tym wszystkim pojęcia, nigdy nie urządziłem mieszkania.

Czuła, że David wciąga ją w coś, co może być dla niej niebezpieczne. Chciała zachować wobec niego dystans, a cóż bardziej sprzyja intymności niż wspólne wybieranie mebli?

- Mogę rzucić okiem na inne pomieszczenia? Może coś mi przyjdzie do głowy.

W kuchni był piecyk elektryczny, kuchenka mikrofalowa, mikser, wbudowana w ścianę lodówka i zamrażarka, a nawet elektryczny otwieracz do puszek.

- Mógłbyś tu przygotować przyjęcie weselne - powiedziała ze śmiechem.

- Nie umiem gotować - odrzekł ponuro - więc nie wiem, po co mi to wszystko. Jadam w szpitalu, czasem w restauracjach, a sam robię tylko kanapki. Nawet mi się nie śniło, że zastanę tu takie wyposażenie. Przyznaję, lodówka przyda mi się na piwo, ale to wszystko. Pomożesz mi stworzyć prawdziwy dom, Jane?

- W tym pomogę tylko komuś, za kogo wyjdę. A uzgodniłiśmy już, że ty nie jesteś dobrym materiałem na męża. Ale nie martw się, nie zostawię cię samemu sobie. Obejrzymy łazienkę?

Łazienka była duża i luksusowo wyposażona, nawet w bidet. Ale nie było w niej glazury.

- Co z kafelkami? - spytała Jane.

- Będą je kłaść w przyszłym tygodniu, ale muszę je wybrać - jęknął, pokazując jej folder reklamowy. - Które ci się podobają?

- To twoja łazienka - przypomniała mu. - Jaki jest twój ulubiony kolor?

- Czarny. Ale czarna glazura w łazience to chyba nie najlepszy pomysł...

- Chwała Bogu, że sam na to wpadłeś. - Wzdrygnęła się.

- No, Jane, zlituj się. Które?

- Niebieskie - mruknęła niechętnie.

- Doskonale, będą niebieskie.

- Jesteś pewien? Nie narzuciłam ci tego? Nie zasugerowałam cię?

- Twoim sugestiom poddaję się bardzo chętnie.

Poszli do sypialń. Ustalili, że w mniejszej powinno znaleźć się składane łóżko dla ewentualnego gościa. W większej Jane z zazdrością obejrzała wbudowane w ścianę obszerne szafy - gdziekolwiek mieszkała, zawsze brakowało jej miejsca na ubrania.

- Wreszcie wiem, co znaczy żyć w luksusie - oznajmiła półzartem. - Lubię dom, który wynajmuję z dwiema koleżankami, ale gdzie nam do ciebie! Kiedy się wprowadzasz?

- Za jakieś dziesięć dni, więc już muszę zacząć myśleć o umeblowaniu. Powłóczysz się ze mną po sklepach, prawda?

- Zrobię co w mojej mocy. Ale to ma być twoje mieszkanie, nie moje. A już na pewno nie nasze.

- Bezlitosna z ciebie kobieta, siostró Cabot. Ale chyba nawet ty masz serce.

Zobaczyła, że palcami lewej dłoni znów pociera zagłębienie prawej. Czyżby był zdenerwowany? Zerknęła na zegarek.

- Późno już. Odwieź mnie.

Gdy zatrzymali się przed jej domem, padał ulewny deszcz. Zamiast jak zwykle wysiąść i wypuścić ją, David siedział zamyślony, bębniąc palcami w obciążoną skórą kierownicę.

- Uświadomiłaś mi, że urządzenie mieszkania to niełatwa sprawa, nawet gdy się ma pieniądze i dużo katalogów. Pomóżesz mi chociaż przy salonie?

- Pomogę. Uwielbiam szastać nie swoimi pieniędzmi.

- No to kamień spadł mi z serca. Jesteś dla mnie taka dobra. - Nachylił się ku niej i zbliżył usta do jej ust.

Podjeżdżała, że to zrobi, i chciała tego. Z zamkniętymi oczami, półleżąc w wygodnym siedzeniu, poddała się jego pieścizotom i szybko je odwzajemniła. Krople deszczu bębniły o dach, a w samochodzie było tak ciepło, tak przytulnie i bezpiecznie... Z Davidem żadna kobieta nie jest bezpieczna, przemknęło jej przez głowę. A jednak czuła coś wręcz przeciwnego.

Jego pocałunki stawały się coraz śmielsze, coraz bardziej namiętne. Objęła go dłońmi za szyję, przeczesała palcami włosy. Nie umiałaby powiedzieć, jak długo to trwało. Wiedziała jedynie, że jest niezmiernie szczęśliwa. Zreflektowała się w momencie, gdy spróbował dotknąć jej piersi - nie mogli posunąć się za daleko.

- Muszę już iść - szepnęła.

- Naprawdę musisz?

- Tak. Mam próbę chóru i obiecałam, że się nie spóźnię.

- Nie miałabyś ochoty opuścić tej próby i zostać ze mną przez resztę wieczoru?

- Może bym i miała, ale na pewno tego nie zrobię. Do zobaczenia w szpitalu, Davidzie.

- Spotkamy się w najbliższych dniach?
- Szczerze mówiąc, mam sporo spraw do załatwienia.

Wysiadł i otworzył jej drzwi, a ona szybko wbiegła na ganek.

- Nie zmoknij mi, bo się przeziębisz! - usłyszała za sobą jego głos.

Poszła do swojego pokoju, zrzuciła ubranie i wzięła prysznic. Ale i tak wciąż czuła na sobie jego cudowne pocałunki.

- W sobotę rano mogę pojechać z tobą po zakupy do Manchesteru - oznajmiła Jane Davidowi w czwartek po południu. - Mam nadzieję, że nic mi nie grozi z twojej strony? - dorzuciła żartem. - Tylko musimy wcześniej wyruszyć, żebyśmy zdążyła wrócić na mecz.

- Dobrze. I obiecuję być grzeczny. Spodziewam się po tobie tylko tego, że pomożesz mi wybrać meble i jakieś tam dodatki. Potraktuję cię jak matkę i siostrę w jednej osobie.

- I całować mnie będziesz też jak matkę i siostrę?

- Z pewnych rzeczy nie wolno żartować - odrzekł poważnie. - Moje uczucia do ciebie są jak najdalsze od ojcowskich, synowskich czy braterskich. Ale nie będę ci się z nimi narzucał. To co, o ósmej u ciebie?

- Będę gotowa. Nie zapomnij książeczki czekowej.

- Mógłbym zrobić zakupy przez Internet - powiedział, gdy jechali do Manchesteru. - Ale wolę wszystko sam obejrzeć.

- Nie wyobrażaj sobie tylko, że kupisz wszystko za jednym zamachem - ostrzegła go. - Najpierw trzeba kupić rzeczy podstawowe, a potem stopniowo dobierać do nich następne. Zastanów się, czego najbardziej potrzebujesz.

- Specjalnie tak mówisz, bo jako kobieta chcesz, żebyśmy często jeździli po zakupy...

Jane wiedziała, że powiedział to żartem, ale musiała przyznać, że było w tym ziarenko prawdy; faktycznie chciała spędzać z nim jak najwięcej czasu.

Zaczęli kupowanie od wybrania łóżka.

- Pojedyncze czy podwójne? - spytała, lekko się rumieniąc. - Oczywiście, że pojedyncze - dodała szybko. - Niby po co ci podwójne...

- A właśnie że podwójne - zaprzeczył - i to jak największe. Ale wcale nie z takich powodów, jak myślisz. Po prostu jestem dużym mężczyzną, który potrzebuje dużego, wygodnego łóżka.

- Jasne - mruknęła. - Gdzieżbym śmiała podejrzewać cię o coś innego...

Dość szybko udało im się znaleźć takie łóżko, jakiego szukali. Obiecano im dostarczyć je następnego dnia.

- A co z bielizną pościelową? - spytała. - Jakiego ma być koloru?

- Może niebieska, tak jak kafelki?

Wybrali więc niebieską, a także pasujący do niej komplet dużych i małych ręczników. Do kuchni kupili sztuce, szklanki, kieliszki do wina, komplet talerzy, kubków, patelni i garnków - znów w kolorze niebieskim.

- Jesteś tak zagubiony i bezradny, jakbyś nigdy nie myślał o tym, żeby mieć prawdziwy dom - zauważyła.

Nie odpowiedział, więc odwróciła głowę i spojrzała mu w twarz - malował się na niej smutek.

- Owszem, kiedyś o tym myślałem - wyznał cicho - ale nie zaszedłem zbyt daleko... No, skończmy już z tą kuchnią,

łazienką i sypialniami i pomyślmy wreszcie o salonie. To dla mnie najważniejsze.

Jego słowa poruszyły ją i wzbudziły w niej ciekawość. Ale uznała, że to niedobry moment na zadawanie pytań.

Zaproponowała, że najpierw wybiorą zasłony.

- Tylko błagam, nic wyszukanego - zaznaczył zdecydowanie. - Żadnych lambrekinów, firaneczek, ani nic z tych rzeczy. Zasłony są po to, żeby chronić przed światłem, to wszystko. I czy ja w ogóle muszę mieć zasłony?

- A co, wolisz żaluzje? Będzie ci się zdawało, że wciąż jesteś w szpitalu!

- Ale żaluzje są praktyczne.

Po kwadransie poszukiwań znaleźli drewniane żaluzje, które ładnie pasowały do parkietu.

- Łatwiej by nam szło, gdybym czytywał pisma kobiece

- rzekł David z przeproszającym uśmiechem. - Nie jesteś zmęczona? Może zajrzemy gdzieś na kawę?

Wstąpili do przytulnej kafejki i zamówili kawę i biskwity.

- Chyba dobrze ci się powodzi, prawda? - domyśliła się.

- Niezbyt liczysz się z groszem.

- Po pierwsze, systematycznie oszczędzam, a po drugie... jako student miałem dobrze płatne zajęcie. No i jedyna naprawdę droga rzecz, jaką w życiu kupiłem, to samochód. A teraz rzeczywiście nieźle zarabiam, nie mogę narzekać.

Powiedz, sprawia ci przyjemność wydawanie moich pieniędzy?

- Obawiam się, że tak. Ale wierz mi, robię co mogę, żeby zadowolić ciebie, a nie siebie. W końcu to ma być twój dom.

- Jeśli tobie podobają się te rzeczy, to i ja na pewno będę z nich zadowolony.

- Wypiłeś kawę? To chodźmy poszukać kanapy.

Zamówili kanapę w kolorze burgunda i od razu dobrali do niej kilka średniej wielkości dywaników perskich w podobnej tonacji. Do tego dokupili dwa czarne regały na książki, niski podłużny stolik i fotel na biegunach.

- Udały nam się zakupy - podsumowała z satysfakcją, gdy wracali do Challis. - Zobaczysz, w mieszkaniu będzie ślicznie.

- Nie czułaś się, jakbyśmy byli dobrym starym małżeństwem? - spytał, pokazując zęby w uśmiechu.

- Bynajmniej - odparła bez wahania.

- Bo nie robiliśmy jeszcze tego, co robią dobre stare małżeństwa... Na razie.

Rumieniąc się, łokciem wymierzyła mu lekkiego kuksańca w bok. Jakże kusząca była to wizja!

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Przyjaciele są po to, żeby ich wykorzystywać - Jane zwróciła się do Davida we wtorek. - Mój samochód jest na przeglądzie, a ja mam próbę chóru dziś wieczorem i muszę stamtąd jakoś wrócić. Mogłabym wziąć taksówkę, ale jeśli nie masz nic lepszego do roboty, to może byś mnie podrzucił?

- Żaden problem. Zawiozę cię na próbę, poczekam na ciebie i odwiozę z powrotem do domu. Jeśli jeszcze trochę posiedzę beczynnym w hotelu, zacznę wariować.

- Jesteś bardzo uprzejmy, ale czy nie sprawię ci kłopotu?

- Ależ skąd, zrobię to z największą przyjemnością.

O której po ciebie wpaść?

- O wpół do ósmej. - Uznała że ma prawo skorzystać z jego uczynności, bo wiedziała, że zrobiłaby to samo dla niego;

i w ogóle dla któregokolwiek ze swoich licznych przyjaciół.

Gdy byli już w samochodzie, postanowiła jeszcze raz spróbować namówić go, żeby poszedł na przesłuchanie.

- Masz naprawdę wyjątkowy głos - przymilała się. - Jesteś pewien, że nie chcesz się do nas przyłączyć? Gdyby Dan mógł cię usłyszeć!

- Wierzę, że tobie śpiewanie sprawia przyjemność, ale ja bym tego nie cierpiał. Już ci mówiłem, że jestem nieznośnym indywidualistą. Poza tym, pewnie miałbym tremę na scenie.

- Ale przecież sala operacyjna to też coś w rodzaju sceny.

Także w tym teatrze występujesz w świetle reflektorów.
I odgrywasz główną rolę.

- To zupełnie co innego. A główną rolę odgrywa Edmund, nie ja. Ale wcale nie przeczę, że to lubię.

Próba miała trwać półtorej godziny. Jane zameldowała się Danowi Websterowi, starszemu lekarzowi na oddziale ginekologiczno-położniczym, który był głównym organizatorem czekającego ich występu.

- Posiedzę sobie cichutko z tyłu i poczytam gazetę - rzekł stojący obok Jane David. - Nie zwracajcie na mnie uwagi.

Nie docenił jednak Dana, który nie miał zwyczaju komukolwiek pozwalać na „cichutkie siedzenie z tyłu”, jeżeli było coś do zrobienia.

- Miło mi cię widzieć, Davidzie - zwrócił się teraz do niego. - Pamiętasz, że niedawno zostaliśmy sobie przedstawieni? Widzę, że przywiozłeś Jane; to ładnie z twojej strony. Masz tu, proszę, listę wszystkich członków chóru. Może zechciałbyś się z nią przejść i popytać, kiedy będą wolni w przyszłym tygodniu, tak byśmy mogli uzgodnić najdogodniejszy dla wszystkich termin następnej próby? Potrzebne nam są jeszcze przynajmniej ze dwa spotkania, na których byłoby obecne chociaż siedemdziesiąt pięć procent zespołu. Złapię cię później, to powiesz mi, co ustaliłeś.

Jane z trudem powstrzymała się od uśmiechu, widząc, jak David ponuro spogląda na wręczoną mu listę, a następnie niepewnie kieruje się ku najbliższej grupce śpiewaków.

- To wcale nie było takie straszne - stwierdził David, gdy próba dobiegła końca. - No i cieszę się, że mogłem pomóc Danowi. A śpiewaliście wprost fantastycznie.

- Fajnie, że ci się podobało - odrzekła Jane. - Ale nie na tyle, żeby się do nas przyłączyć?

- Nie.

- Typowo męska postawa - prychnęła. - Będzie się kręcił za kulisami, ale na scenę to już nie wyjdzie! - Spojrzała na zegarek. - Dziękuję, że na mnie poczekałeś. Może wstąpimy gdzieś na drinka? Ja stawiam. Tuż za rogiem jest przyjemny pub.

- Czy oni wszyscy też się tam wybierają? - Ruchem głowy wskazał szykujących się do wyjścia członków chóru.

- Nie ma sprawy, pójdziemy do innego pubu - uspokoiła go. - Tylko my sami, we dwoje. Bo chyba tego właśnie chcesz?

Ale ten inny pub jakoś im się nie spodobał - duchota, głośna szafa grająca, mnóstwo młodzieży przy jednorękiach bandytach...

- Lepiej chodźmy do mnie na kawę - zaproponowała. Sue pracowała na nocną zmianę, a Megan poszła do kina, byli więc w domu sami. Gdy Jane zrobiła kawę, przeszli z kuchni do salonu. Miło było siedzieć obok siebie na kanapie, w przyćmionym świetle dwóch niedużych lampek, przy dźwiękach nastrojowej muzyki, którą Jane od razu nastawiła. Gdy rozpuściła włosy, przeczesał je dłonią, co podziałało na nią uspokajająco.

- Są cudowne - szepnął i pocałował ją.

Wiedziała, że to zrobi, i chciała tego, toteż nie protestowała. Szybko poczuła przyływ pożądania i mocno go objęła. Sprawiał, że czuła się taka... żywa i młoda! Chciała, żeby nigdy nie przestawał jej pieścić, i coraz bardziej go pragnęła.

Była pewna, że on czuje podobnie; słyszała jego ciężki

oddech. Poglaskał ją ręką po policzku, po szyi, a potem jednym ruchem rozpiął suwak jej dżinsowego kombinezonu. Obojgu dźwięk ten wydał się przeraźliwie głośny. Gdyby chciała, mogłaby to przerwać - ale przecież nie chciała...

Musnął ją ustami w szyję, zanurzył twarz w rowku między wciąż ukrytymi pod staniczką piersiami. Odchyliła głowę do tyłu - to było takie rozkoszne! Nagle, ostatnią przytomną częścią świadomości, zarejestrowała jakiś odgłos. Zgrzyt klucza w zamku?

- Cześć, wróciłam! - usłyszeli głos Megan. - Jest ktoś w domu?

Jane jak oparzona oderwała się od Davida, przyglądziła włosy, błyskawicznie zapięła suwak. Sięgnęła po kubek z zimną kawą i wymamrotała:

- Jestem w salonie, Megan, z Davidem. Właśnie... rozmawialiśmy.

W drzwiach pojawiła się głowa Megan, i David podniósł się z miejsca.

- Zrobić wam coś do picia? - spytała Megan uprzejmie.

- Chyba lepiej już pójde...

- W co ty grasz, Jane? - zapytała z niepokojem Sue następnego dnia wieczorem. - Przecież wiesz, że on skacze z kwiatka na kwiatek. Anna cię ostrzegła.

- Ale jest bardzo miły - zaprotestowała nieśmiało Jane.

- Oczywiście, że jest miły! Właśnie w ten sposób dostaje to, czego chce. Zapewniam cię, że wszystkie kobitki, które miały z nim do czynienia, uważały go za miłego.

- Ze mną mu się nie uda - oznajmiła Jane stanowczo.

Ona, Sue i Megan siedziały razem przy kuchennym stole.

- Więc co zamierzasz? - przyciskała ją dalej Sue. - Czego od niego chcesz? Czego oczekujesz?

- Sama nie wiem. - Jane wzruszyła ramionami, - Na pewno dobrze mi się z nim pracuje. Lubię z nim być. I rozmawiać. On wydaje mi się taki... samotny.

- Nie samotny, tylko zamknięty w sobie. Z tego, co o nim opowiadasz, wynika, że zamiast się udzielać, woli obserwować. I że umie zachowywać się z rezerwą. Naturalnie to nic dziwnego, że znikowałaś na jego punkcie; jest zabójczo przystojny.

- Nie, nie o to chodzi. Wierzcie lub nie, ale całkiem o tym zapomniałam. Po prostu lubię jego sposób bycia, poczucie humoru, upodobania. Swobodnie się z nim czuję.

- Na znalezienie mężczyzny twojego życia pozostało ci już tylko jedenaście miesięcy - wtrąciła Megan. - Uważasz, że David może być tym mężczyzną? Wyszłabyś za niego?

- W żadnym razie!

- Więc po co tracisz czas?

- Jemu odpowiada znajomość niezobowiązująca - zawiązała jej Sue. - Może rozbudzić w tobie uczucie, uwieść cię, porzucić i unieszczęśliwić. A i tak będzie się czuł w porządku, bo od początku wiedziałaś, że małżeństwo nie wchodzi w grę.

- „Uwieść” to takie staroświeckie słowo - skrzywiła się Jane.

- A jak on by to nazwał? - zaciekawiała się Megan.

- Posłuchajcie, ja po prostu lubię jego towarzystwo. Nic poważnego między nami nie zaszło.

- Czyżby? - wyraziła powątpiewanie Megan. - A co było wczoraj wieczorem, kiedy wróciłam do domu?

Jane zarumieniła się po same uszy.

- No nie wiem, może macie rację. Może faktycznie powinnam trzymać go na dystans.

Okazało się, że los sprzyjał jej w wypełnieniu tego postanowienia: jeden z anestezjologów zachorował i David musiał przejąć jego obowiązki, przez co był bardzo zajęty. Również ona miała mnóstwo swoich spraw: próby chóru, mecz, dyżur w telefonie zaufania. Przez jakieś dziesięć dni widywali się tylko w pracy.

David jednak nie rezygnował.

- Wiem, że jesteś zajęta, ale kiedyś i dla mnie mogłabyś znaleźć czas - zwrócił się do niej z wyrzutem pewnego dnia, gdy szorowali ręce przed operacją.

- Mam dużo zajęć, sam o tym wiesz. Poza tym nie zapominaj, że chciałeś tylko luźnej znajomości.

- O ile dobrze pamiętam, ty to powiedziałaś, nie ja - zauważył ponuro. - Ale pewnie masz rację.

Nie miał pojęcia, jak bardzo zranił ją tą uwagą. Przeraziła się, że wystarczy kilka słów, by poczuła się przez niego zraniona.

Cztery dni później, gdy siedzieli w stołówce przy kawie, poprosił ją o krótką rozmowę.

- Znasz Gretę Fallows? - zapytał.

- Z widzenia. Jest przełożoną nocnej zmiany na oddziale piętnastym. - Jane zaczynała się domyślać, do czego ma prowadzić ta rozmowa, ale nie dała nic po sobie poznać.

W szpitalu nie było wolnego i choćby średnio atrakcyjnego mężczyzny, z którym Greta przynajmniej raz by się nie umówiła. Prawdę mówiąc, czasem umawiała się też z żonami. Miała farbowane na czarno włosy i nieco wyzywająco

się malowała. Gdy Sue kiedyś się z nią posprzeczała, opisała ją potem koleżankom jako „kobietę, o jakiej marzą mężczyźni, gdy za dużo wypiją”. Megan natomiast zauważyła kąśliwie, że „figura Greta naocznie pokazuje, co może działać gorset”.

- Pewnie zaproponowała ci spotkanie? - domyśliła się Jane.

- Właśnie. Ktoś niespodziewanie podarował jej dwa bilety na koncert w Manchesterze, w sobotę. Twierdzi, że nie ma z kim pójść.

- Wierzysz w tę bajeczkę?

- Chyba nie - odparł wzdychając. - Ale wydaje mi się, że ona jest sympatyczna.

- Umówisz się z nią?

- Cóż, nie znam tu zbyt wielu osób, a ty ostatnio nie masz dla mnie czasu. Miałabyś coś przeciwko temu?

- Nasza znajomość jest niezobowiązująca - odrzekła z rozbrajającym uśmiechem - więc możesz robić, co ci się podoba. Tak samo jak ja..

Przyjrzał jej się uważnie.

- Coś mi tu nie gra, jesteś zbyt rozsądna i wyrozumiała. To budzi moje podejrzenia. Prawdę mówiąc, akurat na ten koncert chciałbym pójść. Ale wolałbym pójść z tobą.

- Zrób, jak uważasz - powiedziała obojętnym tonem. - Ale posłuchaj mnie teraz, bo to ważne: w tych sprawach nie mam zwyczaju z nikim się dzielić. Możemy nadal się lubić, ale jeśli chcesz umawiać się z nią, to nie licz, że będziesz się też umawiał ze mną.

Na chwilę przymknął powieki, jakby w odruchu bólu, ale zaraz otworzył oczy i uśmiechnął się.

- Tak właśnie podejrzewałem: że jesteś słodka, a zarazem twarda jak stal. A więc dobrze, powiem jej, że nie mam czasu. Nie chcę cię utracić.

- Nie możesz mnie utracić, bo wcale do ciebie nie należę
- zaznaczyła dobitnie.

Potrząsnął głową ze zniecierpliwieniem.

- W życiu nie spotkałem takiej...

Podeszła do nich młodsza pielęgniarka.

- Najmocniej przepraszam, że przeszkadzam,, doktorze Kershaw, ale z panią Snell dzieje się coś niedobrego, więc pomyślałam, że...

- Nic nie szkodzi, już idę. I tak już pora wracać na oddział.
Gdy odszedł, Jane odetchnęła z ulgą i jednym haustem

dopiła kawę. Czy David odgadł, że jej beztroska jest jedynie maską? Że tak naprawdę bardzo jej na nim zależy? Przestraszyła się tej myśli: nie może sobie pozwolić na to, żeby jej zależało; nie wolno jej się w nim zakochać.

Tego samego dnia wieczorem do Jane zadzwoniła Margaret, dziewczyna będąca kapitanem ich drużyny hokejowej. Okazało się, że sobotni mecz został odwołany. Jane tak się z tego ucieszyła, że zaledwie jednym uchem słuchała, z jakich powodów. Wiedziała, że David wciąż jest w szpitalu. Odłożywszy słuchawkę, w ułamku sekundy podjęła decyzję.

- David Kershaw, słucham.

Przecież widziała go tak niedawno! A jednak sam jego głos podziałał na nią jak narkotyk.

- Mówi Jane. Słuchaj, to nie ma być nagroda pocieszenia za rezygnację z randki z Gretą, ale właśnie się dowiedziałam, że w sobotę po południu jestem wolna. Jeśli nie masz nic innego do roboty, to może spędziłbyś ten czas ze mną?

- Z największą przyjemnością - ucieszył się. - Co chciałabyś robić?

- Przejechać się do Liverpoolu. Tym twoim potworem to zaledwie pół godziny jazdy. Zabawimy się w turystów.

- Fantastycznie. A na razie dobranoc, kochanie.

Po raz pierwszy zwrócił się do niej w ten sposób. Czy oznaczało to coś szczególnego?

W sobotę po południu czuła się nie jak doświadczona, dwadziestodwuletnia kobieta, tylko jak nastolatka przed pierwszą randką. I uczucie to było wprost cudowne!

- Jesteś pewna, że wiesz, co robisz? - zwróciła się do niej Sue.

- Myślę, że tak. W cokolwiek wchodzę, wchodzę w to z otwartymi oczami.

- Więc życzę ci powodzenia. — Sue serdecznie ją uściskała. - I powiem ci coś jeszcze: najwyraźniej David nie tylko jest piękny, ale ma też dobre serce. Wczoraj spędził sporo czasu na naszym oddziale, pomagając praktykantom, mimo że nie musiał tego robić, bo nie należy to do jego obowiązków.

- Nie dziwi mnie to. Wiem, że wbrew pozorom potrafi myśleć nie tylko o sobie.

Tym razem Jane ubrała się w jasnoszare spodnie i szaroniebieski golf z kaszmirowej wełny. Na wypadek, gdyby było chłodno, zabrała też swój rozpinany granatowy moher.

Przez okno w salonie zobaczyła podjeżdżający samochód i otworzyła frontowe drzwi, zanim David zdążył zadzwonić. Nie zamierzała ukrywać przed nim, że go oczekiwała - przestała się tym przejmować.

- Śliczna jak zawsze - powiedział na powitanie, uśmiechając się do niej.

- Dzięki za komplement, miły panie. Wypijesz kawę czy chcesz od razu jechać?

- Jedźmy. Nigdy nie byłem w Liverpoolu i jestem go strasznie ciekaw.

Gdy byli już w drodze, zauważyła, że David jest jeszcze bardziej milczący niż zwykle.

- Mam wrażenie, że nie jesteś sobą. Czy coś cię gryzie?

- Nie. Po prostu staram się, być ostrożny. Popełniłem już wobec ciebie jeden błąd i nie chcę popełnić następnego.

- Nie martw się, jeśli naprawdę popełnisz błąd, nie omieszkać cię o tym zawiadomić - roześmiała się, całując go w policzek. - Więc skończ z tą nadmierną ostrożnością i bądź sobą.

Przez jakiś czas jechali wzdłuż rzeki, by w końcu zatrzymać się na wielkim parkingu w tak zwanym Doku Alberta. Trzymając się za ręce, spacerowali po okolicy niczym para zagranicznych turystów.

W Doku Alberta znajdowało się kilkanaście wielkich budynków z czerwonej cegły, służących niegdyś za magazyny, w których teraz mieściły się mieszkania prywatne i lokale biurowe. W suterrenach były sklepy, kafejki, puby; oprócz tego studio telewizyjne, muzeum morskie i galeria sztuki współczesnej.

- Wszystko ci pokażę - zapewniła go z entuzjazmem.

- Zacznijmy od galerii.

Było tu co oglądać, ale ponieważ nie mieli zbyt dużo czasu, nie zabawili tam długo. Zresztą okazało się, że żadne z nich nie przepada za nowoczesną sztuką.

- Szczerze mówiąc, te geometryczne obrazy jakoś do mnie nie przemawiają - wyznała - choć podobają mi się niektóre rysunki. Ale chodź już, pójdziemy teraz do muzeum morskiego.

Tu spodobało im się dużo bardziej. Z zainteresowaniem oglądali silniki, wielkie modele transatlantyków, słynne obrazy o tematyce marynistycznej, rekonstrukcję ładowni statku, którym biedota czwartą klasą emigrowała do Ameryki.

- Nie da się ukryć, że concorde'em i szybciej, i wygodniej - zauważył z uśmiechem.

Na koniec wybrali się na małą wycieczkę promem. Na wodzie odczuwało się dojmujący chłód, toteż Jane włożyła swój moherowy sweter. Ale mimo zimna, z przyjemnością obserwowali popiskujące nad ich głowami mewy i statki wypływające w morze.

- Jeszcze sto lat temu był to port o znaczeniu światowym - powiedziała. - Teraz już tak nie jest.

- Wszystko się zmienia, Jane. Nawet ludzie.

Ta uwaga dała jej do myślenia. Czyżby David próbował jej coś powiedzieć?

Wróciwszy do Doku Alberta, usiedli w kawiarnianym ogródku przy kawie i rogalikach francuskich.

- Ależ mnie bołą nogi! - poskarżyła się, masując sobie łydki. - Zwiedzanie bywa bardzo męczące.

- Ale też ciekawe i przyjemne, zwłaszcza z tobą, Jane. We wszystko wkładasz tyle serca...

- Ja też lubię z tobą przebywać - odrzekła zgodnie z prawdą. - A poza tym jesteś tak zabójczo przystojny, że kobiety gapią się na nas z zazdrością. To mnie bawi.

- Chyba przesadzasz - zaprotestował z zakłopotaniem.

- Ale nie ulega wątpliwości, że mnie mężczyźni zazdroszczą twojego towarzystwa. Jesteś taka... promienna.

- Promienna? - powtórzyła ze zdziwieniem. - To ładne słowo.

Poszedł kupić jeszcze jedną kawę, ona zaś zaczęła dumać nad tym, o czym przed chwilą rozmawiali. Może i podoba się niektórym mężczyznom, ale z pewnością dużo więcej kobiet patrzy na niego. Nawet teraz, gdy stał w kolejce, ujrzała odwrócone ku niemu głowy kilku dziewcząt. Mimo to odnosiła wrażenie, że on sam nie przywiązuje zbytnej wagi do swojego wyglądu ani nie uważa go za powód do dumy. I lubiła to w nim.

- Więc umawiasz się ze mną tylko dlatego, że twoim zdaniem jestem- atrakcyjny? - spytał, wróciwszy z kawą. - A ja myślałem, że interesuje cię mój umysł i dusza, nie ciało.

Oczywiście wiedziała, że to żart, ale odpowiedziała mu całkiem serio.

- Życie jest za krótkie na to, żeby tracić je na randki z facetami, których jedynym atutem jest wygląd. Nie, nie, uważam, że osobowość jest dużo ważniejsza.

- Jeśli obiecasz, że nikomu nie powiesz, wyjawię ci pewną tajemnicę.

Jego słowa natychmiast ją zaintrygowały - tym bardziej że towarzyszył im zagadkowy półuśmiech.

- Uwielbiam tajemnice. Ale mam nadzieję, że to nic... złego?

- „Złe” to za mocno powiedziane, ale i tak nie chciałbym, żeby dowiedział się o tym ktokolwiek ze szpitala.

- No to mów, nie drażnij się ze mną! A ja przyrzekam, że choćby nie wiem co, będę po twojej stronie.

- Przyrzekasz? Trzymam cię za słowo... - Nachylił się przez stół i zniżył głos. - To historia z czasów, kiedy byłem biednym studentem medycyny, który żył o chlebie i wodzie. Rozpaczliwie potrzebowałem pieniędzy, bo chciałem sobie kupić takiego fordzika jak twój. I zaproponowano mi duży zarobek... pod warunkiem, że sprzedam swoje ciało.

- Co takiego?!

- No, może nie sprzedam, tylko wypożyczę. Otóż pracowałem jako... model.

- Chcesz powiedzieć, że paradowałeś po wybiegu z ręką opartą na biodrze?

- Niezupełnie. Przeważnie pozowałem do zdjęć w kolorowych magazynach. Gdybym to dłużej robił, mógłbym być zarobić fortunę. Moja agentka była bardzo rozczarowana, gdy oznajmiłem jej, że rezygnuję.

Nie była w stanie powstrzymać się od śmiechu.

- Ty... modelem! W błyskach flesza, z miną zamyśloną, rozmarzoną, uwodzicielską... Czy właśnie tak to wyglądało?

- Obawiam się, że tak. Większości fotografów nie wystarczało robienie zwykłych zdjęć, za pomocą których dałoby się sprzedawać męskie kurtki i swetry; chcieli tworzyć wielką sztukę... Ale-dzięki temu kupiłem fordę.

- Więc czemu przestałeś to robić? To naprawdę opłacalne zajęcie. Gdybym miała taką możliwość, nie wahałabym się z niej skorzystać.

- Słuchaj dalej, a zaraz zrozumiesz... Byłem już wtedy stażystą, wiesz, świeżo upieczonym doktorkiem w białym kitlu, ze stetoskopem na szyi, napalonym na zdobywanie nowej wiedzy. Polecono mi zawołać do gabinetu pacjentkę z poczekalni. Podchodzę do niej i co widzę? Swoje zdjęcie

w czasopiśmie, które leży na jej kolanach. Ona patrzy to na zdjęcie, to na mnie, i jest wyraźnie zdezorientowana. Widać w końcu uznała, że coś jej się przywidziało, bo nie powiedziała słowa na ten temat. Ale ja postanowiłem rzucić tę robotę, żeby uniknąć takich kwiatków w przyszłości. Moja agentka była bardzo niezadowolona. - Zamyślił się na moment, a potem dodał: - Ty już znasz moje grzechy. Opowiedz mi teraz o twoich wstydliwych tajemnicach.

- Ja nie mam żadnych tajemnic - odparła bez namysłu, mając nadzieję, że jej uwierzy. Może kiedyś powie mu o... Ale na pewno nie teraz.

- Bardzo cię lubię, Jane - stwierdził poważnie. - I wydaje mi się, że i ty lubisz mnie. Więc czemu tak mnie... zbywasz?

- Chcesz raczej powiedzieć: czemu nie jestem w tobie po uszy zakochana? Oczywiście, mogłabym się w tobie zakochać, ale nie dopuszczę do tego. Miły z ciebie facet, ale chcesz jedynie niezobowiązującej znajomości. Dobrze, odpowiada mi to, bo żaden z ciebie kandydat na męża. A ja chcę wyjść kiedyś za mąż i mieć dzieci.

- A jeśli na mężczyznę swego życia trafisz teraz, gdy się spotykamy, to co zrobisz? - spytał cicho.

Wiedziała, że zabrzmi to brutalnie, ale musiała powiedzieć mu prawdę.

- Przestaną się z tobą spotykać. Tak samo jak ty przestałeś się spotykać ze wszystkimi poprzednimi dziewczynami.

- Umiesz przyłożyć, nie ma co. I to ma być samarytanką? Wolę nie myśleć, jakich rad udzielasz w telefonie zaufania.

- Nie obawiaj się, przeszłam kurs. A poza tym nie doradzam, tylko słucham. - Zrobiła krótką pauzę. - Dzięki tym

dyżurom wiele się nauczyłam o związkach i relacjach między ludźmi. Słuchasz, jak inni mówią o swoich trudnościach, i uczysz się zrozumienia i współczucia: Ale jednocześnie uczysz się tego, że w życiu trzeba być... no, może nie bez serca, ale jednak twardym i zdecydowanym. Tak by nie popełniać błędów, które popełnili już inni.

- Wszyscy popełniamy czasem błędy...

- Ty sam wcale nie jesteś taki twardy, jak udajesz. Kiedy się denerwujesz albo zamyślasz, palcami lewej dłoni pocierasz zagłębienie prawej.

- Więc zauważyłaś! - Natychmiast rozłączył ręce. - Zre-sztą wcale mnie to nie dziwi, jesteś bardzo spostrzegawcza.

- Uniósł prawą dłoń. - Spójrz na moje palce.

Uważnie im się przyglądając, dostrzegła w końcu małe blizny, jakby po operacji. Popatrzyła na niego pytająco.

- Co się stało?

Wpatrując się ponuro w dłoń, poruszał nią na wszystkie strony, na przemian złączał i rozcapierał palce.

- Jest wystarczająco sprawna i wrażliwa, żebym mógł być anestezjologiem, ale nie, na przykład, chirurgiem.

A chciałem zostać właśnie chirurgiem.

Ujęła jego dłoń, ścisnęła lekko i na moment przytknęła do ust.

- Proszę, opowiedz mi o tym.

Uwolnił rękę i popił kawy. Nigdy nie widziała na jego twarzy takiego smutku. Milczała, wiedząc, że on zbiera myśli, zastanawia się, co i jak jej powiedzieć.

- Kiedyś... byłem zaręczony z niejaką Dianą Furling - odezwał się w końcu, nie patrząc na nią. - Nie miała nic wspólnego z medycyną, i może na tym polegał problem. By-

ła dyrektorką firmy, dla której pracowałem jako model. - Podniósł wzrok na Jane. - W niczym nie przypominała ciebie. Jadała wyłącznie sałatę, popijając wodą mineralną.

Zerknęła na okruchy rogala, który przed chwilą spałaszowała z apetytem.

- Czy to komplement?

- Tak, zamierzony. Ale wracając do Diany... Była zawsze umalowana i nieskazitelnie elegancka. Nie pociła się, nie kichała, nie miewała zadyszki. Rozumiesz, o co mi chodzi? Nie cierpiała medycyny, ale uważała, że skoro już muszę się jej trzymać, to powinienem zostać chirurgiem plastycznym. Znała kogoś z tej branży, kto mógłby mi zaproponować dobrą posadę. W ogóle obracaliśmy się wśród ludzi z tak zwanego świata artystycznego, wiesz, malarzy, aktorów, reżyserów... Nawet mi to wtedy imponowało, ale do czasu. Bo potem poczułem się tym wszystkim zmęczony i przytłoczony. Diana nalegała, żebym porzucił medycynę. Twierdziła, że z moim wyglądem mogę zarobić krocie w inny sposób. Ale ja obstawałem przy swoim... Tak czy owak, pojechaliśmy kiedyś na przyjęcie. Gdy z niego wyszliśmy, Diana oznajmiła; że nie wsiądzie do mojego forda. Ona sama miała porsche.

- Teraz ty też masz porsche! - zdziwiła się Jane.

- Tak, to naprawdę dobra marka. W gruncie rzeczy kupiłem go z rozmysłem, żeby zmierzyć się ze swoimi demonami. Po tym przyjęciu myślałem, że Diana może spokojnie prowadzić, bo wiedziałem, że prawie nie piła alkoholu. Nie wiedziałem natomiast, że w damskiej toalecie zażyła kokainę. Wtedy byłem jeszcze naiwny... Jechała bardzo szybko, wzięła ostry zakręt i straciła panowanie nad kierownicą. Po wypadku samochód nadawał się już tylko na złom. Diana

była w szoku, ale nic jej się nie stało. Ja miałem wstrząs mózgu. Gdy obudziłem się w szpitalu, okazało się, że mam też pokiereszowaną rękę... połamane palce, uszkodzone nerwy. - Spojrzał na swoją prawą dłoń. - Operowali mnie najlepsi lekarze, ale nie udało im się przywrócić pełnego czucia i giętkości. Spytałem, czy mogę być chirurgiem. Powiedziano mi, że owszem, ale w ograniczonym zakresie; że nigdy się nie wybije i nie zostanę profesjonalistą najwyższej klasy. Dlatego zdecydowałem się na anesteziologię, która zresztą bardzo mnie interesuje.

- A co z Dianą?

- Odwiedziła mnie w szpitalu, ale nie czuła się winna.

Orzekła, że stan mojej dłoni nie ma najmniejszego znaczenia, bo tego nie widać na zdjęciach. Nie miała pojęcia, co przeżywam. Oznajmiła, że załatwiła dla mnie niezwykle korzystny kontrakt. Miałem rzucić medycynę, wyjechać do Stanów i pracować w reklamie kosmetyków dla mężczyzn. Obiecywała, że zostanę milionerem. Ale ja nie chciałem być milionerem, tylko lekarzem. No więc zwróciła mi pierścionek zaręczynowy, mówiąc, że nie lubi nosić tandety. Na odchodnym rzuciła, że kiedy odzyskam rozum, to mogę się z nią skontaktować. Nigdy tego nie zrobiłem.

Jane wzięła się w garść, by zapanować nad silnymi emocjami, jakie wywołała w niej jego opowieść.

- Chyba nie oczekujesz, że powiem, że serce mi pęka z żalu nad tobą?

- Sam nie wiem... Ale chyba powinienem się spodziewać, że tego nie powiesz.

- Posłuchaj, rozumiem, że Diana dała ci w kość, i dobrze, że się od niej uwolniłeś. I naprawdę mi przykro z powodu

twoich palców. Ale nie miałeś prawa zakładać, że wszystkie kobiety są takie same. Uczyniłeś sobie z tego wymówkę, żeby wymigać się od zobowiązań w przyszłości. Może nawet odgrywałeś się w ten sposób na innych kobietach za to, co zrobiła ci Diana. Niektóre z nich mogły cię... Krótko mówiąc, wyrządziłeś im krzywdę.

Jego twarz pozostała nieporuszona, ale oczy rozbłysły mu gniewem.

- Bardzo łatwo jest siedzieć w ciepłym pokoju przy telefonie i wysłuchiwać żalów, obcych ludzi - rzekł posepnie.
- Nie osądzasz ich, bo cię to nie dotyczy...

- Trzeba zachowywać dystans, to konieczne. - Energicznie podniosła się z miejsca. - Chodźmy już.

Bez słowa wsiedli do samochodu i jechali w gasnącym świetle dnia. Mniej więcej w połowie drogi Jane położyła mu rękę na ramieniu.

- Możesz na chwilę przystanąć?

- Czemu? - spytał lodowatym tonem.

- Bo cię o to proszę. No już, chyba nie proszę o tak wiele? Zjechał na pobocze i wyłączył światła.

Rozpięła swój pas bezpieczeństwa i nachyliła się ku niemu. Ujęła w dłonie jego twarz i pocałowała go.

- Myślałam o tym, co powiedziałam. Masz rację, zachowałam się głupio i niedelikatnie. Mnie samej udało się zrealizować wszystkie moje ambicje, więc nie umiem sobie nawet wyobrazić, jak ci musiało być ciężko. Naprawdę mi przykro, przepraszam.

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Nie, Jane, nie musi ci być przykro, bo to ja powinienem cię przeprosić. Jesteś dla mnie taka dobra... To, co powie-

działaś, zabołało mnie, ponieważ w grancie rzeczy masz rację. Tyle że potrzebuję czasu, żeby się z tym oswoić. No już, dosyć kłótni, znów bądźmy dobrymi przyjaciółmi.

Teraz on pocałował ją. Było to przemile, ale oboje czuli, że jest im niewygodnie.

- Mój samochód nie jest najlepszym miejscem do całowania się - mruknął.
- Więc chodźmy gdzie indziej...

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

O osiemnastej David rozpoczynał dyżur. Oznaczało to, że musiał dotrzeć do sali operacyjnej w ciągu dwudziestu minut, gdyby wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Biorąc to pod uwagę, on i Jane zamierzali wstąpić do pubu znajdującego się w pobliżu szpitala. Szybko jednak zmienili zdanie i David zdecydował się zaprosić Jane do swego pokoju w hotelu, na co ona chętnie przystała.

- Zrobię ci herbatę - obiecał. - Mogę nawet przygotować jakieś kanapki.

- Dzięki, herbata zupełnie wystarczy. Najadłam się tymi rogalami.

W pokoju Davida znajdowało się łóżko, biurko, szafa, dwie nieduże półki na książki. Na jednej z nich zobaczyła podręczniki chirurgii - i na chwilę ogarnął ją smutek.

Ponieważ w pokoju było tylko jedno krzesło, zdjęła buty i usiadła na łóżku.

- Ten pokój mógłby należeć do kogokolwiek - zauważyła, gdy stawał na nocnym stoliku dwa kubki herbaty. - Strasznie tu bezosobowo: żadnych zdjęć ani obrazków, żadnej muzyki.

- Mam sporo osobistych rzeczy, ale i tak by się tu nie zmieściły. Na razie oddałem je na przechowanie. Pomyślałem sobie, że zmobilizuje mnie to do poszukania czegoś własnego

i na stałe. No i znalazłem to mieszkanie nad rzeką. A teraz ty pomogłaś mi je umeblować... Kiedyś postanowiłem sobie, że gdy osiągnę jakąś pozycję zawodową, to kupię porządne mieszkanie i...

- I zmienisz styl życia? - Pokazała zęby w szerokim uśmiechu. - Z wiecznego studenta i młokosa przerodzisz się w dojrzałego mężczyznę?

- Coś w tym rodzaju... Może nawet w szacownego obywatela?

- Cóż za upiorny pomysł!

Siedziała po turecku u wezglowia łóżka. Podał jej kubek z herbatą, a potem sam też zdjął buty i usiadł w takiej samej pozycji naprzeciwko niej.

- Opowiedziałeś mi trochę o swoim życiu zawodowym i osobistym. A co z rodziną? Czy twoi rodzice żyją?

- Tak. Ojciec jest emerytowanym lekarzem. Mam też brata lekarza, który mieszka w Nowej Zelandii z żoną, również lekarką. Mają dwoje dzieci, Betty i Davida, który nosi to imię po mnie. Rodzice są teraz u nich, niby to z wizytą, ale tak naprawdę to opiekują się dziećmi, i to w pełnym wymiarze godzin. Na szczęście, uwielbiają to.

- A ty byłeś w Nowej Zelandii?

- W zeszłym roku. Chciałem poznać moją bratanicę i bratanika. Prawdę mówiąc, proponowano mi tam nawet pracę, ale ja wolę mieszkać w Wielkiej Brytanii. Często kontaktujemy się przez pocztę elektroniczną.

- Szkoda, że są tak daleko. Ale miło, że się kochacie i utrzymujecie kontakt.

- Mógłbym ci zadać pytanie natury osobistej? Ty już tyle o mnie wiesz.

- Pytaj śmiało. Odpowiem ci, jeśli... będę mogła.
- Czemu nie wyszłaś jeszcze za męża? Taka dziewczyna jak ty już dawno powinna być zajęta.

Zawahała się. Mogłaby zbyć go gadką o tym, że czeka na tego Jedynego - przecież chyba nie musi być z nim całkiem szczerą?

- Możesz mi zaufać - dodał łagodnie, jakby czytając w jej myślach.

Czy na pewno mogę? - przemknęło jej przez głowę. Tak, chyba tak.

- Dobrze, odpowiem ci. Otóż kiedyś o mały włos nie wyszłam za męża. Byłam zaręczona z pewnym lekarzem i mieszkałam z nim przez dwa lata. Nazywał się John Gilmore. Uważałam, że jesteśmy szczęśliwi, mimo że oboje ciężko pracowaliśmy. Nosiliśmy się z myślą o małżeństwie, ale jakoś wciąż pozostawało to w sferze mglistych planów. John był neurologiem. Wynajmowaliśmy mieszkanie w Leeds.

- Co poszło nie tak?

- Właściwie wszystko układało się jak należy. Johnowi zaproponowano świetną posadę w Stanach, nie mógł jej nie przyjąć. Po trzech miesiącach pojechałam do niego i również dostałam tam pracę. Mniej więcej rok później stwierdziłam, że nie odpowiada mi życie tam, więc wróciłam. Próbowaliśmy nadal być parą, żyjąc na dwóch różnych kontynentach; ale to się oczywiście nie udało. Coraz rzadziej do siebie pisywaliśmy i dzwoniliśmy. W końcu John przyjechał tu do mnie i oznajmił, że poznał kogoś. No więc rozstaliśmy się... ale w zgodzie, pozostając dobrymi przyjaciółmi.

- Chyba dobrze, że przyjechał i osobiście cię zawiadomił. Co potem czułaś?

- Szczerze mówiąc, ulżyło mi. Na swój sposób, było mi z nim dobrze, ale chyba... nie dość dobrze.

- Rozumiem. Też uważam, że w tych sprawach trzeba mierzyć wysoko. Ale mam wrażenie, że chowasz w zanadrzu coś jeszcze. Wszyscy sądzą, że nasza pocziwa Jane jest uroczą, pracowitą i lubi się zabawić. A jednak wyczuwam w tobie jakąś nieufność czy rezerwę. Co przede mną ukrywasz, Jane?

Zrobiło jej się nieswojo, że tak łatwo ją przejrzał. Ale dobrze, skoro już się przed nim otworzyła, powie mu i to.

- Nigdy nie znałam moich biologicznych rodziców. Powiedziano mi tylko, że moja matka uczyła się i że nie była w stanie zatrzymać mnie przy sobie. Zostałam adoptowana przez niejaką Alice Cabot, kobietę, której nazwisko noszę i która dała mi wiele radości. Była dla mnie najlepszą matką na świecie: kochającą, wyrozumiałą, dodającą otuchy. Po sześciu latach adoptowała jeszcze jedno dziecko, chłopca o imieniu Peter, który stał się moim bratem. Zanim to zrobiła, zapytała mnie o zdanie w tej sprawie. Pamiętam, że chociaż byłam wtedy mała, bardzo długo i poważnie o tym rozmawialiśmy. Wszyscy troje byliśmy potem bardzo szczęśliwi.

- Upiła łyk herbaty. - Gdy Peter miał siedemnaście lat, a ja wchodziłam w życie zawodowe, mama umarła. Ot tak, po prostu... Wylew krwi do mózgu, dwa tygodnie w szpitalu, i po wszystkim. Oboje czuliśmy się zdruzgotani, ale jakoś przetrwaliśmy. A potem Peter został lekarzem i pracuje teraz w Londynie. Choć oddzielnie mieszkamy, jesteśmy sobie bardzo bliscy. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Rozumiem, moja sytuacja jest podobna. Szczęściarzem tego Petera, że ma taką fajną siostrę... Ale czuję, że to jeszcze nie wszystko. Prawda, Jane?

- Prawda - odrzekła powoli. - To jeszcze nie wszystko.
- Jeśli ci to pomoże, wyobraź sobie, że to ja mam dyżur w telefonie zaufania. Ty mów, a ja będę tylko słuchał. Ale jeśli nie chcesz, to nie będę nalegał.

Przez chwilę zbierała myśli.

- Mam w domu pewien list, który bardzo wytrącił mnie z równowagi. Sama nie wiem, co mam z nim począć. Odczuwam lęk, niepokój i ciekawość zarazem. Nie potrafię podjąć decyzji.

- Powiesz mi, od kogo jest ten list?

To było sedno sprawy. Ku swemu zdziwieniu odkryła, że chce mu to powiedzieć. Było to tym dziwniejsze, że na razie nie zamierzała dzielić się tym z ani z Peterem, ani Sue, ani Megan. Czemu więc czuła, że może zwierzyć się Davidowi?

- Wspomniałam ci, że zostałam adoptowana jakieś sześć tygodni po urodzeniu. Wszystko zostało załatwione zgodnie z prawem, a moja przybrana matka nie mogłaby być dla mnie lepsza. No a teraz... dostałam ten list. Ludzie z agencji napisali, że moi biologiczni rodzice chcieliby się ze mną skontaktować. Oczywiście, na razie nie podano im mojego nazwiska ani adresu, bo potrzebna jest do tego moja zgoda. Agencja prześle im wiadomość ode mnie, jeśli będę tego chciała. Ale równie dobrze mogę nie życzyć sobie żadnego kontaktu z nimi.

- Kiedy dostałaś ten list?

- Dwa tygodnie temu. No i nie mam pojęcia, co zrobić. Chyba po raz pierwszy w życiu czuję się aż tak zagubiona i niezdecydowana.

- Opowiedz mi o tym. Możesz mówić beładnie, to bez znaczenia. Ważne, żebyś powiedziała wszystko, co ci chodzi

po głowie. Nie będę cię osądzał ani zmuszał do podjęcia decyzji. Po prostu mów.

„Po prostu mów”. Łatwo powiedzieć...

- Jak już wspomniałam, miałam bardzo szczęśliwe dzieciństwo. Alice traktowała mnie jak własną córkę, a ja ją jak prawdziwą matkę. Moja biologiczna matka... porzuciła mnie. I kim właściwie jest mój ojciec? Co robił przedtem? Przecież on również mnie porzucił. Teraz rodzice nie są mi potrzebni. A jednak naprawdę istnieją, gdzieś żyją, i są moimi rodzicami. A ja... jestem ich dzieckiem. W telefonie zaufania nasłuchiwałam się tylu smutnych i niezwykłych historii... Może to, że mnie zostawili, to nie była ich wina ani zła wola. Może czegoś nie wiem? I kto wie, może mam prawdziwą rodzoną siostrę albo brata? Bardzo kocham Petera, ale nie miałabym nic przeciwko temu, żeby poznać moje prawdziwe rodzeństwo. Tylko co by było, gdybyśmy się nie polubili? - Z oczu popłynęły jej łzy, toteż podał jej chusteczkę. - Najgorsze jest to, że nie umiem się zdecydować. I bardzo się boję.

- Chyba nie musisz się z tym śpieszyć? Skoro zwlekali tyle lat, to tydzień lub dwa nie zrobi specjalnej różnicy. Poczekaj na moment, w którym poczujesz, że wiesz, co chcesz zrobić. Gdy decyzja się wyklaruje, wprowadź ją w czyn.

Zastanowiła się nad jego słowami. Nie była to może konkretna rada, ale warto było ją przemyśleć.

- Teraz wiem, że moje dyżury w telefonie zaufania mają sens. Dziękuję, że mnie wysłuchałeś. Już mi lepiej.

- Zrobij jeszcze herbaty.

Gdy została sama, otarła łzy i wydmuchała nos. Czowała, że odzyskuje spokój.

- Ciepło tu - stwierdziła parę minut później, po czym skrzyżowała ręce nad głową i zdjęła kaszmirowy golf, pod którym miała białą bluzeczkę bez rękawów.

- Masz ładne ramiona. Ramiona... hokeistki! Zaokrągłone, ale bez grama tłuszczu. Szalenie mi się podobają.

- Miło mi to słyszeć. I dzięki za herbatę.

Przysunął się do niej na łóżku, tak że siedząc twarzą w twarz, stykali się kolanami.

Spojrzała w te ciemnoniebieskie, teraz niemal granatowe oczy; prześliznęła się spojrzeniem po jego ustach, które aż prosiły się o pocałunek. Omalże zapomniała, jaki jest atrakcyjny, bo gdy się z nim zaprzyjaźniła, jego cechy wewnętrzne stały się dla niej ważniejsze niż jego wygląd. Czy mógłby się stać kimś więcej niż przyjacielem?

Wziął ją za rękę i delikatnie przesunął palcami od nadgarstka aż po odkryte ramię. Pieszczota była subtelna, ale nieoczekiwanie zmysłowa. Jane uśmiechnęła się lekko i zamknęła oczy. Czowała, jak David gładzi ją po policzkach, pieści szyję i kark. I było to takie kojące!

- Usiądę obok ciebie, dobrze? - usłyszała jego głos.

Nie otworzyła oczu, ale przysunęła się do ściany, robiąc mu miejsce. Zsunęła się niżej, wyprostowując nogi. Gdy otoczył ją ramieniem, odwróciła się do niego i położyła mu głowę na piersi. Całował jej włosy, czoło, brodę. Wiedziała, na co się zanosi, i chciała tego. Chyba nie tylko go lubi, chyba jest w nim... zakochana. Ale jej uczucia do niego są takie niejednoznaczne! Choć wie na pewno: chce, aby to zrobili - teraz, tutaj. Jest dorosłą kobietą, a nie jakąś gąską. Nagle zaśmiała się.

- Co cię tak bawi? - zapytał.

- Twierdziłam, że wchodzę w to z otwartymi oczami,
a przecież mam je zamknięte.

- Ale nic cię nie martwi? Jest ci dobrze, prawda?

- Tak, jest mi cudownie.

Musnął wargami jej powieki, najpierw lewą, potem prawą.

- Rzeczywiście, masz zamknięte oczy.

Pocałował ją namiętnie w usta i wydawało się, że trwa to bez końca. Gdy obsunęli się razem jeszcze trochę niżej, zaczął powoli rozpinać guziki jej bluzeczki. Westchnęła, czując jego dłoń na nabrzmiałej z podniecenia piersi. Nie zamierzała pozostać bierna - skoro ma mu się oddać, odda mu się bez reszty. Objęła go rękami za szyję i mocno przyciągnęła ku sobie. Jęknęła, czując, jak jego język coraz śmieiej wnika w jej usta. Kiedy przejechał ręką wzdłuż jej kręgosłupa, zadrżała z rozkoszy. Czowała, jak twardnieją jej piersi, jak pali ją całe ciało. Nie miała wątpliwości, że on pragnie jej tak samo mocno jak ona jego. Włożywszy mu ręce pod koszulę, wędrowała dłońmi po jego torsie, brzuchu, rozkoszując się cudownym ciepłem jego ciała. Te ubrania nieznośnie im przeszkadzają, powinni je...

Ciszę rozdarł natarczywy dzwonek. Oboje zastygli w bezruchu, jakby przerożeni, a telefon wciąż dzwonił i dzwonił.

Nieprzyjnym okiem spojrzała na stojący przy łóżku paskudny przedmiot z czarnego plastiku, który nie przestawał hałasować.

- Musisz odebrać - szepnęła. - Przecież jesteś na dyżurze.

- Ale...

- Jeśli tego nie zrobisz, gotowi tu kogoś przysłać.

Odwrócił się i podniósł słuchawkę.

- Taak?

Słuchał w milczeniu, a ona patrzyła, jak jego twarz powoli się wygładza, by w końcu przybrać rzeczowy, niemal obojętny wyraz.

- Rozumiem - odezwał się w końcu. - Będę za piętnaście minut. Wezwaliście już doktora Steadmana? To świetnie.

Odłożył słuchawkę i oparłszy stopy na podłodze, usiadł na brzegu łóżka ze zwieszoną głową, tyłem do niej. Podciągnęła się na rękach i przytuliła do jego przygarbionych pleców.

- Wiem, że nie ma na to czasu, i czuję się z tym równie fatalnie jak ty. Ale zaczekaj jeszcze chwileczkę i pocałuj mnie. - Usiadła obok niego.

Był to słodki, długi pocałunek, w którym wciąż jeszcze tliła się namiętność. Oboje wiedzieli jednak, że muszą na tym poprzestać. Po chwili odsunęła go od siebie i zapięła bluzkę.

- Czas na pana, doktorze Kershaw — powiedziała ze smutnym uśmiechem. - Powinnam oblać cię zimną wodą; masz wypisane na twarzy, że... oddawałeś się rozpuście!

Nie poruszył się.

-• No, Davidzie, rusz się, jesteś przecież profesjonalistą. Musisz iść do szpitala. Ile ci to zajmie?

- Szczerze mówiąc, trudno powiedzieć. - Wzruszył ramionami. - Skomplikowany przypadek, to może potrwać nawet parę godzin. Nie miałabyś ochoty zostać i...?

- Sam wiesz, że to niezbyt dobry pomysł. Nie mógłbyś się skupić, bo wciąż myślałbyś o tym, że tu na ciebie czekam... Nie, Davidzie, spędziliśmy uroczy dzień i mało brakowało, a mielibyśmy też uroczy wieczór. Ale lepiej wróć do domu.

- Chyba masz rację - westchnął. - Zobaczymy się jutro?
- Przecież mówiłam ci, że wyjeżdżam na tydzień... na szkolenie do Leeds. Nie pamiętasz? Ale w przyszły weekend będę już z powrotem. Zadzwońisz do mnie, kiedy wyjadę?
- Oczywiście. Tak mi przykro, nie mogę cię teraz nawet odwiedzić do domu.
- Nic nie szkodzi, nie jest jeszcze późno; Wrócę autobusem lub taksówką.

Wysiadając z taksówki, czuła się nieswojo. To, że im tak brutalnie przerwano, podziałało na nią gorzej niż się spodziewała. Nie chodziło tylko o to, że nie zdążyła... Chodziło o wiele rzeczy.

W sobotnie wieczory prawie zawsze wychodziła z domu, przeważnie do klubu. Ale teraz czuła, że nie ma ochoty na głośne i tłumne towarzystwo. Przekonywała samą siebie, że musi zostać w domu, by przygotować się do rozpoczynającego się w poniedziałek szkolenia. Ale w głębi duszy wiedziała, że to nieprawda, bo przeczytała już wszystko, co było do przeczytania na ten temat.

Żałowała, że żadnej z jej współlokatorek nie ma akurat w domu. Poirytowana przez kwadrans miotała się po kuchni i salonie, by w końcu zdecydować się na kąpiel.

Zwykle tak się śpieszyła, że brała tylko prysznic. Ale dziś miała aż za dużo czasu i nie wiedziała, jak go wypełnić. Miała ochotę zapytać w telefonie zaufania, czy nie potrzebują dodatkowej pomocy. Zrezygnowała jednak z tego pomysłu - dziś nie była w stanie wysłuchiwać innych ludzi, miała dość własnych problemów.

Napuściła pełną wannę wody i wlała do niej sporo płynu do kąpieli, który zaczął się cudownie pienić. Rozebrawszy

się, kątem oka ujrzała w dużym lustrze odbicie swego nagiego ciała. Dziś to ciało mogło być zaznać...

Czerwieniąc się, zanurzyła się w kąpiel. Gorąca woda pomogła jej rozluźnić mięśnie i odprężyć się; wypłukała z niej smutek i złość. Muszę się nad tym wszystkim zastanowić, pomyślała; czemu jestem w takim stanie?

Mało brakowało, a pozwoliłaby Davidowi, by się z nią kochał. Kochał się z nią? A cóż miłość ma z tym wspólnego? O tym, czego on chce, rozmawiali już nieraz. A ona sama pierwsza nazwała to po imieniu; „luźna znajomość”.

Czemu zatem była gotowa tak łatwo mu ulec? Mimo że nie była dziewicą, nie była też zwolenniczką przygodnego seksu. Dla niej życie erotyczne było częścią szerszej i głębiej rozumianego związku dwojga ludzi. Czemu ona, harda Jane, równoprawna partnerka mężczyzny, tak chętnie ustąpiła Davidowi? Nie,

wcale mu nie ustąpiła - chciała tego tak samo jak on.

Naprawdę go lubiła i jego towarzystwo sprawiało jej przyjemność. Można powiedzieć, że się z nim zaprzyjaźniła. Ale wiedziała, że w grę wchodzi też odczucia zupełnie innego rodzaju. David pociągał ją jako mężczyzna - tyle że nie chciała o rym myśleć. Jednak prędzej czy później będzie musiała. Czyżby się w nim zakochała? Czy stała się jedną z tych beznadziejnie w nim zadurzonych kobiet, które potem słono płaciły za swą miłość? Niestety, wszystko na to wskazuje. Więc może powinna dać sobie z nim spokój? Po co ma się z nim spotykać, skoro i tak wiadomo, że nigdy się nie pobiorą?

Ledwie postanowiła więcej się z nim nie umawiać, natychmiast ogarnęła ją rozpacz. Wcale nie chce przestać go widywać! Nie oszukujmy się: nie umiałyby z niego zrezygnować, choćby -nie wiem co.

Nie będzie dłużej siedzieć sama i oddawać się ponurym myślom. Jest jeszcze wcześniej, wpadnie do klubu. Wyszła z wanny, ubrała się i ruszyła do samochodu.

Jane była bardzo zadowolona ze szkolenia. Zawsze uważała, że spotkania z pracownikami innych szpitali są twórcze i rozwijające. Poza tym Leeds było przecież jej domem w czasach, gdy była z Johnem. Zajrzała na oddział, gdzie kiedyś pracowała, i do pubu, do którego zwykli wpadać na drinka. Odwiedziła też budynek, w którym razem mieszkali - okazało się, że przeprowadzono w nim remont generalny, tak że mieszkanie, które wynajmowali, teraz już nie istniało. Doszła do wniosku, że fakt ten ma wymowę symboliczną; musiała przyznać, że ostatnimi czasy prawie wcale nie myślała o Johnie, a jeśli już, to z pewnością bez drżenia serca. John na dobre zniknął z jej życia i wspomnień - teraz myślała o Davidzie.

Zastanawiała się, czy David zajął miejsce Johna. Zadzwo- nił do niej od razu w pierwszy dzień szkolenia, wieczorem.

- Jestem w bardzo fajnej grupie - oznajmiła mu. - Strasznie nas gonią z materiałem, ale cieszę się, że czegoś się uczę.
- Czy jest tam mnóstwo fantastycznych facetów?
- Mam wrażenie, że dopraszasz się, żebym powiedziała, że nie są tak fantastyczni jak ty. Ale znalazłoby się paru niezłych.
- Rozumiem... A jak ci się podoba twój pokój?
- Dużo bardziej niż ten twój w hotelu.
- Więc nie wyniosłaś z mojego pokoju zbyt przyjemnych wspomnień?

- I tak, i nie... Coś mi się zdaje, że wybawił mnie dzwonek telefonu...

- Nie nazwałbym tego „wybawieniem”, raczej „naruszeniem prywatności”... - Roześmiał się głośno. — Naprawdę cieszę się, że cię słyszę. Zadzwoń jeszcze, dobrze?

- Dobrze. Będzie mi miło.

Prawdę mówiąc, dzwonił do niej co wieczór, a ona z bijącym sercem oczekiwała jego telefonów. Pewnego razu powiedział jej, że zastępująca ją instrumentariuszka nie jest nawet w połowie tak kompetentna jak ona, co sprawia, że Edmund Steadman bez przerwy się złości. „Nie może się już doczekać twojego powrotu - zapewnił ją. - Zresztą, nie on jeden...”

W piątek zadzwonił dokładnie w chwili, gdy uczestnicy szkolenia żegnali się, wymieniając adresy i telefony.

- Domagam się randki - powiedział. - Co robisz w niedzielę po południu?

- Nic takiego. A czemu pytasz?

- Dzwonię z mojego nowego mieszkania. Są w nim już wszystkie meble, które wybraliśmy. Plus pudła z rzeczami, które oddałem na przechowanie. Muszę to wszystko jakoś ogarnąć i uporządkować. Nie zechciałabyś mi pomóc? Potrzebuję kogoś, kto zna się na wystroju wnętrz.

- Raczej kogoś, kto nie boi się ciężkiej roboty.

- Owszem, to też. Ale ja dobrze płacę. No i urzęduję dla ciebie przyjęcie. Kupię coś na wynos w chińskiej restauracji.

- W twojej eleganckiej okolicy nie sprzedają niczego na wynos. Ale i tak z radością ci pomogę.

Ucieszyła się, że już niedługo go zobaczy.

W sobotę rano, wracając samochodem do Challis, czuła dziwne uniesienie. Udane szkolenie, mocno świecące słońce, perspektywa spotkania z Davidem - wszystko to wprowadziło ją w dobry nastrój. Odkryła też, że z dużo większym spokojem myśli o liście od rodziców. Bez nadmiernych emocji zdołała rozważyć wszystkie powody przemawiające za i przeciw nawiązaniu kontaktu z nimi.

Do tej pory nie zaprzętała sobie głowy myśleniem o swoich prawdziwych rodzicach; nie była ich nawet ciekawa. Wystarczyło jej, że wie, iż została oddana do adopcji. Jej życie z Alice Cabot i Peterem było bardzo szczęśliwe. Prawdziwi - czy raczej biologiczni - rodzice z jakichś względów się jej pozbyli. Czemu więc teraz, po dwudziestu pięciu latach, zmienili zdanie i zapragnęli ją poznać?

Dyzury w telefonie zaufania uświadomiły jej, jak złożone bywają ludzkie losy i jak wiele zależy czasem od przypadku i okoliczności. Heż to razy wysłuchiwała tragicznych historii od ludzi, którzy w niczym nie zawinili!

Poza tym wiedziała już, że ludzie naprawdę się zmieniają. Toteż i jej rodzice mogli dojrzeć i zmienić się - byli teraz przecież o niemal trzydzieści lat starsi.

Nie była już dzieckiem, żeby potrzebować opiekunów. Liczyła się także z tym, że poznanie rodziców może spowodować zamęt w jej ułożonym już jakoś życiu, wywołać burzę rozmaitych emocji. Ale zastanawiając się nad tym, doszła do wniosku, że życie bez ryzyka jest niewiele warte. Podjęła wreszcie decyzję: napisze do nich, i to od razu.

Dotarłszy do domu, przywitała się z Sue i Megan i z kubkiem gorącej kawy poszła do swojego pokoju. Z piórem w rękę usiadła przy stole. Napisała słowo „kochana” i po

pięciu minutach wpatrywania się w czystą kartkę odłożyła pióro.

Napisanie tego listu nie będzie takie łatwe, pomyślała. Jeśli napisze, że miała szczęśliwe dzieciństwo, może to zostać odebrane jako wyrzut wobec jej biologicznych rodziców. Jeśli tego nie napisze, będzie się czuła nielojalna wobec Alice Cabot, która tyle dla niej zrobiła.

„Kochana” - kto? Matko, mamo, mamusiu?

Dziesięć minut później skreśliła słowo „kochana” i zaczęła od nowa: „Skreśliłam to słowo, bo nie wiem, jak mam się do Ciebie zwracać. Więc może lepiej opowiem Ci o sobie”. Teraz poszło jej już łatwiej.

Napisała krótko o szczęśliwym dzieciństwie i o pracy w szpitalu, i o tym, że chciałaby kiedyś wyjść za mąż. Wyznała też szczerze, że chciałaby się z nimi spotkać, ale że trochę się tego spotkania obawia.

Skończywszy pisać, przeczytała list i włożyła go do koperty. Potem szybko pobiegła wrzucić go do skrzynki, żeby się przypadkiem nie rozmyślić.

W niedzielę David przyjechał po nią o pierwszej. Ubrana w dzinsowy kombinezon wybiegła mu na powitanie, niosąc w rękach dwie duże torby. W jednej były stare ubrania, w drugiej - ściereczki, pasty, płyny do czyszczenia, i temu podobne akcesoria.

- Zamierzam dać z siebie wszystko! - oznajmiła z uśmiechem.

David miał na sobie dzinsy i ciemną koszulkę, która opinała się na jego ładnie umięśnionym torsie. Dopiero teraz Jane uświadomiła sobie, że nie widziała go cały tydzień i że

strasznie się za nim stęskniła. Po trwającym dobre pół minuty powitalnym pocałunku wreszcie go od siebie odsunęła.

- Jedźmy już, póki mam melodię do pracy!

Gdy byli już w samochodzie, poinformował ją o swoich pierwszych wrażeniach.

- Mieszkanie jest już wykończzone i muszę przyznać, że jestem zadowolony. Ale pełni szczęścia zaznam dopiero, gdy to wszystko posegregujemy. Miałaś rację, przestrzegając mnie, żebym na razie ograniczył się do minimum. Gdyby było więcej gratów, w ogóle byśmy sobie nie poradzi.

Zaczęli od salonu. Żaluzje i kanapa były już na swoim miejscu, ale pośrodku pokoju znajdował się stos kartonowych pudeł i dwa duże kufry.

- Oto moje życie - zażartował David, wskazując je ręką.

- Gotowe do wypakowania.

- Poczekaj, tylko się przebiorę, i zabieramy się do roboty. Przede wszystkim wyjęli wieżę i ustawili ją w przeznaczonym na to miejscu.

- Przy muzyce będzie nam się lepiej pracowało. - Włączył pierwszą z brzegu płytę kompaktową.

Otwierali wszystkie pudła po kolei. On sortował i układał ubrania, ona zaś - książki. Oprócz pozycji medycznych, historycznych i podróżniczych, natknęła się też na wiele książek o ziołarstwie.

- Interesujesz się ziołolecznictwem?

- Owszem. Tak zwane ludy prymitywne zawsze się na tym dobrze znały. Szkoda tylko, że tak mało wiedziały o wirusach i bakteriach.

Spodobał jej się też dużych rozmiarów album z kolorowymi zdjęciami Londynu.

- Pięknie wydany! Musiał sporo kosztować. - Na stronie tytułowej zobaczyła dedykację i odczytała ją na głos: -

„Kocha-

nemu Davidowi, z miłością i ucałowaniem". To od Diany!

- Z miłością i ucałowaniem? - powtórzył z powątpiewaniem. - Mocno przesadziła.

- A jednak zatrzymałeś ten album.

- Wyłącznie z tego powodu, że są w nim piękne fotografie - zapewnił ją zdecydowanie. - Czyżbyś była... zazdrosna?

- Nie bądź niemądry! - obruszyła się i energicznie wepchnęła album pomiędzy inne książki na półce, starając się ukryć zakłopotanie.

Najbardziej jednak zaciekawił ją album ze zdjęciami rodzinnymi. Nie mogła się oprzeć - musiała zajrzeć do środka. Ujrzała zdjęcia Davida ze szkoły i ze studiów; samego i z bratem, i z rodzicami; zdjęcia zrobione w górach, nad morzem, w mieście. Wierzyła, że pewnego dnia obejrzy ten album razem z nim i że wtedy on więcej jej o sobie opowie. Tak bardzo chciała go poznać!

W końcu natrafiła na teczkę z adnotacją: „David Kershaw - historia choroby". Nie otworzyła jej, ale odważyła się zapytać:

- Co to takiego, Davidzie?

- Mówiłem ci o moim wypadku i o uszkodzeniu nerwów dłoni. Może to niezbyt dobry pomysł, żeby lekarz sam siebie leczył, ale chciałem mieć pewność, że spróbowałem wszystkiego. Są tu prześwietlenia, opisy choroby, diagnozy, rokowania, listy od najróżniejszych profesjonalistów. Niestety, wszyscy oni stwierdzają to samo: że mogą zrobić sporo, ale nie dość dużo.

- Jeszcze do tego wrócimy. Ale na razie zajmijmy się kuchnią.

Poszli rozpakować szklanki, kubki, sztućce, talerze, garnki i patelnie. Cała kuchnia była zavalona papierami, ale wreszcie zaczynała wyglądać tak, jakby ktoś rzeczywiście z niej korzystał.

Potem Jane zajęła się ścieleniem łóżka. Nakładając poszwę na koldrę, nie mogła oprzeć się myśli, że kiedyś będzie pod nią leżała z Davidem. Czując, że się rumieni, spuściła głowę, żeby nie zauważył jej zawstydzenia.

Gdy śmieci i puste opakowania zostały wyniesione, Jane odkurzyła wszystkie pomieszczenia. Rozejrzawszy się po mieszkaniu, uznała, że zaczyna ono przypominać prawdziwy dom, zwłaszcza że na ścianach w salonie zawisły obrazy!

Choć byli zmęczeni, oboje odczuwali satysfakcję. Okazało się, że pracowali bez przerwy ponad cztery godziny!

- Weź kąpiel - zaproponował, otaczając ją ramieniem. - A ja, zgodnie z obietnicą, pójdę po jedzenie.

- Ale też jesteś chyba zmęczony?

- Nic mi nie będzie, czuję się wspaniale. Wykąpię się, kiedy wrócę. A potem oboje będziemy bezwstydnie leniuchować.

Poszła do łazienki, puściła wodę i rozebrała się.

- Wracam za dziesięć minut! - usłyszała z przedpokoju jego głos, a potem trzaśnięcie drzwi.

Już miała stanąć jedną nogą w wannie, gdy nagle wybuchnęła gorzkim śmiechem. Gdyby ją teraz słyszał pomyślałaby, że postradała zmysły.

- Nie jest zbyt ciepło, ale może miałabyś ochotę posiedzieć chwilę na balkonie? - zaproponował, wróciwszy z jedzeniem. - Narzuć, proszę, moją marynarkę. Zaraz ci przyniosę kieliszek wina.

Siedziała na balkonie, sącząc wino i przyglądając się światłom na rzece. Cóż za romantyczna sceneria! - pomyślała i kręcąc głową, uśmiechnęła się smutno pod nosem.

Słyszała, jak David nakrywa stół, wyciąga nowe sztucce i talerze. Potem odgłosy z kuchni umilkły, zastąpione przez szum wody w łazience..Dopiła resztkę czerwonego wina - zapewne bardzo drogiego - i znów roześmiała się do siebie.

Niedługo potem David wyszedł z łazienki, ubrany w ciemnoniebieskie dżinsy i koszulę.

- Kolacja podana - oznajmił.

Włączył płytę z nastrojową muzyką fortepianową i nareszcie zasiedli do długo wyczekiwanego posiłku. Jedzenie było wyszukane, ale Jane szybko opuściły początkowe wyrzuty sumienia - uznała, że zasłużyła sobie na tę odrobinę luksusu.

Po kolacji przeszli do salonu na kawę, do której David podał też po kieliszeczku likieru miętowego.

- Przywiozłem go z zagranicy, z myślą o jakiejś szczególnej okazji. No i dziś właśnie się nadarzyła.

Objął ją, a ona położyła mu głowę na ramieniu. Czowała się szczęśliwa i cieszyła ją jego bliskość. Ale wiedziała już, że... Nie wytrzymała - wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Co cię tak bawi? - spytał, nieco zbity z tropu.

- Wcale nie wiem, czy to jest zabawne... Raczej tragikomiczne. I wcale nie czuję się z tym dobrze. Bo przecież

wiem, do czego zmierzasz. Ta kolacja, alkohol... pewnie chciałbyś, żebym została na noc?

- Kłamałbym, mówiąc, że tego nie chcę; ale to zależy wyłącznie od ciebie.

- Też bym tego chciała, nawet nie masz pojęcia, jak bardzo. Tylko że to niezbyt sprzyjający moment. Po prostu jak co miesiąc... dopadła mnie kobiecość. Więc moglibyśmy co najwyżej spać obok siebie w jednym łóżku. A chyba nie całkiem o to nam chodzi? - Chichocząc figlarnie, spojrzała na niego. - Ojej, gdybyś mógł teraz widzieć swoją twarz! No, Davidzie, jesteś przecież lekarzem i dorosłym mężczyzną, chyba rozumiesz, o co mi chodzi?

- Tak, naturalnie, że rozumiem, tylko że... - Wreszcie i on dostrzegł komizm tej sytuacji. - No cóż, widać nie można mieć wszystkiego... To co, wypijemy jeszcze kawę?

Dwie godziny później zaproponował jej, żeby mimo wszystko została, jeśli chce. Myśl o spędzeniu z nim nocy w tym wygodnym nowym łóżku była jej miła, ale wiedziała też, że oboje będą się męczyć, nie mogąc spełnić tego, czego pragną.

- Lepiej odwieź mnie do domu - poprosiła. - Może innym razem będziemy mieli więcej szczęścia...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W poniedziałek rano Jane przyjechała do szpitala w bardzo pogodnym nastroju. Szorowała właśnie ręce przed operacją, gdy usłyszała za sobą czyjeś kroki. Odwróciwszy głowę, zobaczyła Davida.

- Cześć - rzekła z promiennym uśmiechem.

Zmarszczywszy brwi, zatopił wzrok w gazecie, którą trzymał w ręku. Ponieważ nie odpowiedział, pomyślała, że może jej nie usłyszał.

- Dzień dobry - powtórzyła głośniejszym, wciąż się uśmiechając. - Los spletał mi wczoraj figła, ale...

- Czy moglibyśmy odłożyć na później tę towarzyską pogawędkę? - przerwał jej chłodnym tonem. - Jesteśmy tu po to, żeby pracować.

Przyjrzała mu się zdumiona. Nie wierzyła własnym uszom - czy naprawdę odezwał się do niej w ten sposób?

- Davidzie, co się... - zaczęła, ale nim zdążyła dokończyć, już go nie było.

W sali operacyjnej wciąż uciekał spojrzeniem gdzieś w bok i do nikogo się nie odzywał, toteż nawet Edmund zauważył, że coś jest nie tak. Podczas przerwy na lunch zniknął jak kamfora i nie przyłączył się do Jane w stołówce.

- Davidzie, czy coś się stało? - spytała, dopadłszy go wreszcie po południu. - Jesteś jakiś dziwny.

- Zapewniam cię, że nic mi nie dolega - odparł chłodno.
- I przestań udawać, że obchodzi cię to, jak się czuję.

Gdy wyminąwszy ją, odszedł, z otwartymi ze zdumienia ustami wpatrywała się w jego plecy, absolutnie nic nie rozumiejąc. Wieczorem trzykrotnie do niego dzwoniła, za każdym razem zostawiając wiadomość na automatycznej sekretarce. Mimo jej próśb nie oddzwonił. Najpierw się martwiła, potem denerwowała, wreszcie wpadła w złość. Nie pozwoli się tak traktować!

Nazajutrz sytuacja się powtórzyła, ale Jane nie zamierzała ciągnąć tego w nieskończoność.

- Możemy zamienić parę słów? - spytała wprost, dopadłszy go samego na korytarzu.

- Nie mam teraz czasu - burknął, próbując ją wyminąć. Zagroziła mu drogę.

- Jesteś mi winien wyjaśnienie - powiedziała rzeczowym tonem. - Jeśli nie chcesz się już ze mną spotykać, w porządku. Ale byłabym wdzięczna za odrobinę uprzejmości. Wystarczy choćby jedno krótkie zdanie. Możesz mnie obrażać, ale nie pozwolę, żebyś mnie ignorował. Skoro to koniec, powiedz mi chociaż dlaczego.

- Wystarczy jedno krótkie zdanie? - rzucił ostro. - Będę łaskawy i zdobędę się na więcej! Otóż nad ranem wezwano mnie do chorego. Kiedy mijalem twój dom, czułem się jak zakochany po uszy nastolatek. Spojrzałem w okno twojej sypialni... i kogo zobaczyłem? Jakiegoś faceta w piżamie! Ziewał rozkosznie, i było oczywiste, że spędził tę noc razem z tobą. Zresztą, ty byłaś obok, w szlafroku. I obejmowałaś go. Mam nadzieję, że był tego wart.

Patrzyła na niego blada jak ściana, nie mogąc wykrztusić

słowa. Gdy ponownie spróbował ją wyminąć, znów zagroziła mu drogę.

- Teraz kolej na moje jedno krótkie zdanie. Ale będę łaskawa i zdobędę się na więcej! Owszem, ten chłopak spał u mnie w niedzielę. Mało tego, dał mi nawet pieniądze. To jeszcze pogarsza sprawę, prawda? Jest młodszy od ciebie i nie tak przystojny jak ty, ale całkiem niczego sobie. Spędziłam z nim uroczy wieczór. Ma mnóstwo cech, których ty nie masz i nigdy mieć nie będziesz.

On też był już blady jak ściana.

- Nie chcę tego słuchać! - wybuchnęła.

- Nie chcesz, ale będziesz musiał. W przeciwnym razie, ominie cię najlepsze. Bo choć ten chłopak spał w mojej sypialni, to spędził noc na podłodze. Tak jak już wiele razy przedtem. Ale, ale, nie powiedziałam ci chyba jeszcze, kto taki? Otóż ten chłopak nazywa się Peter Cabot i jest moim bratem. Wspierałam go finansowo podczas studiów, więc teraz, kiedy zaczął zarabiać, chce zacząć spłacać swój dług. Tyle co do pieniędzy, a co do mężczyzn nocujących w naszym domu, to mamy pewne surowe zasady, od których bracia są wyjątkiem. Zadowolony?

Na jego twarzy pojawił się wyraz nagłego olśnienia. Wiadac było, że od razu jej uwierzył. Nie miał zresztą powodów, by nie wierzyć.

- O Boże, Jane... - jęknął. - Co mam ci powiedzieć?

- Cokolwiek powiesz, niczego to nie zmieni. Powiedziałaś już swoje. Fakt, że tego rodzaju podejrzenia ośmielasz się żywić właśnie ty, wieczny Casanova, zakrawa na ponury żart... To kwestia zaufania, Davidzie. O nic mnie nie spytałeś, nie dałeś mi szansy niczego wyjaśnić, z góry założyłeś,

że dobrze wiesz, co jest grane. Ja do tej pory nie wiem, czy mogę ci zaufać, czy nie. Ale gdybym to ja była na twoim miejscu, to przede wszystkim spytałabym, co masz mi do powiedzenia.

- Jane, ja...

- Jeszcze nie skończyłam. Nie próbuj przeproszać ani się tłumaczyć. Za późno na to. Będziemy współpracować, bo oboje należymy do zespołu. Ale poza tym między nami koniec. Możesz się do woli umawiać z Gretą Fallows. Życzę powodzenia!

Odwróciła się, żeby odejść, ale schwycił ją za ramię.

- Daj mi spokój - warknęła, strząsając jego rękę. - Nie ma już nic do dodania.

Wygłoszenie tej małej przemowy sprawiło jej nie lada satysfakcję. Naprawdę była na niego wściekła i mówiła całkiem serio. Ale gdy wieczorem wróciła do domu, nie była już taka pewna swego. Teraz, gdy wyparowała z niej złość, ogarnął ją głęboki smutek. Przecież było im razem tak dobrze. .. Przecież jest w nim... Obawiała się wypowiedzieć to słowo nawet w myślach.

Z powodu obecności Petera musiała robić dobrą minę do złej gry. Przyjechał późnym wieczorem w niedzielę i oznajmił, że przywiózł pierwszą część długu, który zamierza spłacić w całości. Z początku odmówiła przyjęcia pieniędzy, ponieważ za jego naukę płaciła z własnej woli i z największą przyjemnością.

- Mam swoją dumę - podkreślił w odpowiedzi. - Przyjmując od ciebie tę forszę, obiecałem, że ci ją zwrócę.

- Ale ja też mam swoją dumę - drażniła się z nim ze śmiechem. - Wiesz co? Pójdziemy na kompromis: przyjmę

połowę sumy; drugą oddasz mi dopiero, jak zostaniesz konsultantem.

W wieku osiemnastu lat Peter był wysoki i chudy jak patyk. Teraz przybrał na wadze, a jego twarz nabrała poważniejszego wyrazu - lecz kiedy się uśmiechał, wciąż przypominał jej chłop-

czyka, którego bujała na huśtawce w ogrodzie.

- Go za wspaniały zapach! - zawołała teraz, wchodząc do kuchni.

- Jestem człowiekiem światowym - zapewnił ją Peter.

- Kiedy byłem młody, ktoś nauczył mnie gotować. Podoba ci się mój fartuszek?

Fartuszek był w kwiatki i o wiele na Petera za mały - musiał go znaleźć w kuchennym schowku na stare rzeczy.

- Dobrze, że nie widzą cię teraz twoi pacjenci - orzekła z udawaną zgrozą.

- Oj, tak. Dużo lepiej wyglądam w białym fartuchu lekarskim. - Sięgnął po czajnik. - Chcesz herbaty?

- Bardzo chętnie, Ale zdradź mi, co przygotowałeś. Umieram z głodu.

- Cielęcinę w ostrej papryce. Paluszki lizać, mówię ci! Ale to zjemy jutro.

Gdy nalewał jej herbatę, spostrzegła w jego oczach jakiś dziwny wyraz".

- Nie chcę czekać do jutra! - zirytowała się. - Jestem głodna jak wilk! A poza tym, coś przede mną ukrywasz, widzę to po twoich oczach.

- To dosyć skomplikowane, ale zaraz wszystko ci wyjaśnię. Otóż dziś po południu ktoś do mnie zadzwonił i zaprosił mnie na kolację. I ciebie również, jeśli tylko zechcesz przyjąć zaproszenie. Chciałbym, żebyś je przyjęła.

- Kto zaprosił cię na kolację? - spytała z pozoru obojętnie, gdy usiadł naprzeciwko niej przy stole.

- Dobrze wiesz, kto. No, David Kershaw. Twierdzi, że jest mi winien przeprosiny, że widział mnie w pizamie w oknie twojej sypialni i myślał, że jestem... kimś innym. Ale jeśli nie chcesz, Jane, to nigdzie nie pójdziemy. Powiedziałem, że kiedy coś ustalimy, zadzwonię do niego. Jest mu głupio i przykro, i było to słycać w jego głosie...

- A dobrze mu tak, niech cierpi - stwierdziła bezlitośnie. Wszystkiego by się spodziewała, ale nie tego zaproszenia.

Sama nie wiedziała, co czuje. Zerwała z Davidem - ostatecznie i nieodwołalnie; a teraz on chce naprawić swój błąd. Czy chce mu na to pozwolić? Czy chce przyjąć go z powrotem? Zorientowała się, że czuje radość i ulgę. Oczywiście, że przyjmie go z powrotem!

- Nic mi o nim nie pisałaś - powiedział cicho Peter. - Czy to coś... poważnego?

- Obawiam się, że tak, i wcale nie wiem, czy to dobrze. Zaczęło się niewinnie i niezobowiązująco, a teraz... Nie jestem pewna, czy powinnam się w to angażować.

- Nie znam go, ale przez telefon zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie. Długo rozmawialiśmy o medycynie; sądzę, że mógłbym się od niego sporo nauczyć. Wiesz, że chciał zostać chirurgiem?

- Tak. W ogóle całkiem dużo o nim wiem.

- Posłuchaj, to jeszcze nie wszystko. On przesyła ci przeze mnie wiadomość. Dość niezwykłą, muszę przyznać. Prosił, żebym powtórzył ci coś, czego nigdy nie powiedział ci osobiście: że cię kocha.

- Że mnie... kocha? Dość dziwnie mi to okazuje...

- Znasz się na mężczyznach, Jane. Ten twój John Gilmore też był całkiem niezły. A Davidowi chyba naprawdę na tobie zależy. Zamierzasz dać mu szansę? Wiesz, że decyzja należy tylko do ciebie. Jeśli nie chcesz go widzieć, powiem, że nie idziemy, i zaraz zjemy cielecinę.

Zadumała się na chwilę i ciężko westchnęła.

- Zadzwoń i powiedz, że idziemy. Pod warunkiem, że pozwoli ci pojeździć swoim wozem.

- A jaki on ma wóz?

- Porsche.

- O rany, naprawdę? - Peter rozpromienił się jak mały chłopiec. - Myślisz, że pozwoli mi prowadzić? - Ale nagle twarz mu posmutniała. - Nie, nawet nie mam co o tym myśleć; przecież nie jestem ubezpieczony. Ale powiedz mi, jaki jest koloru? Nowy czy używany?

- David sam ci to wszystko powie. Idź wreszcie i zadzwoń do niego. Tylko zaznacz, że ma nas zabrać do jakiejś eleganckiej restauracji.

- Już ją chyba wybrał. - Pocałował ją w policzek. - Wszystko gra, siostrzyczko?

- Tak. Tylko powiedz mu, że to, że idziemy, nie znaczy, że mu przebaczyłam.

- Myślę, że on to wie.

Peter zadzwonił do Davida i umówił się, że ten podjedzie po nich o ósmej.

- Idziemy do restauracji „U Picarda” - oznajmił. - Jak tam jest?

- To bardzo wytworne miejsce. Mam nadzieję, że David nie sądzi, że można mnie kupić.

- A mnie tak. W każdym razie można mi kupić kolację.

Peter poszedł się przebrać. Gdy wrócił w ciemnym garniturze z białą koszulą i stalowoszarym krawatem, nie wyglądał już jak chłopaczek, tylko jak młody i dobrze się zapowiadający pan doktor.

- Wyglądasz doskonale - orzekła Jane. - Teraz kolej na mnie.

Kiedy Jane była na gorze, do domu wróciła Megan. Usiadła z Peterem w kuchni i wdała się z nim w ożywioną rozmowę. Jednak na widok Jane oboje oniemieli.

- Przeszłaś samą siebie - wykrztusiła wreszcie Megan. Jane upięła włosy w gustowny kok i zrobiła sobie nieco wyrazistszy makijaż niż zwykle, nie zapominając o perfumach. Sukienka mini ze srebrzystego jedwabiu pozwalała podziwiać jej zgrabne nogi, którym smukłości przydawały czarne pantofelki na obcasie. Peter uśmiechnął się z dumą.

- Chcesz, żeby cierpiał, co? Będzie się skręcał z rozpacz i pożądaniami.

- Niech wie, co traci.

Tuż przed ósmą David zadzwonił do frontowych drzwi i Peter wpuścił go do środka. Jane dostała ogromny bukiet herbacianych róż, do którego dołączony był bilecik z jednym słowem: „Przepraszam”.

- Ładne - powiedziała bez entuzjazmu, przyjmując kwiaty. - Wstawię je do wazonu.

W samochodzie Jane usiadła na tylnym siedzeniu, a Peter - obok Davida. Jako że panowie mieli z sobą dużo wspólnego, miło im się gawędziło o medycynie i motoryzacji.

Kolacja w restauracji była wyborna i składała się z kilku dań. Oczywiście nie zabrakło też kawy i lodów na deser.

David nadal niewiele się odzywał do Jane, rozmawiając

raczej z Peterem. Odnosił się do niej tak, jakby była jego znajomą i koleżanką z pracy - i nikim więcej. Doceniała jego takt i delikatność, ale gdy kolacja dobiegała końca, musiała przyznać w duchu, że jej uczucia do Davida znów nabrały rumieńców.

Naturalnie, David odwiózł ich z powrotem. Peter pożegnał się z nim i pośpieszył do domu, zostawiając ich samych. Gdy David wypuszczał Jane z samochodu, podwinęła jej się sukienka. Szklanym wzrokiem popatrzył na jej odsłonięte uda, a potem spojrzął jej prosto w twarz - dobrze wiedział, czemu się tak ubrała.

- Dziękuję za wspamiętały wieczór - powiedział. - Twój brat bardzo mi się spodobał; miły chłopak z niego.

- Ja również dziękuję - odrzekła uprzejmie. - Zwłaszcza za pyszną kolację.

- Zobaczymy się jutro? - spytał niepewnie.

- Oczywiście, przecież razem pracujemy.

- Wiesz, że nie o to mi chodzi...

- Potrzebuję czasu, Davidzie. Ale chyba możesz... być dobrej myśli.

- To już coś. Mógłbym przeprosić cię jeszcze raz, ale to by pewnie niewiele dało. Wiesz, co do ciebie czuję, prawda?

Milczała przez chwilę.

- Poprosiłeś Petera, żeby mi powtórzył, że mnie... kochasz. Dlaczego?

- Wierz lub nie, ale nie szastam tym słowem. Przed tobą powiedziałem to tylko Dianie.

- Więc to nie jest niezobowiązująca znajomość? To poważne uczucie? A co, jeśli mnie interesuje wyłącznie... przygoda?

- Decyzja należy do ciebie - odparł z westchnieniem. - Ale

ufam, że z czasem zaczniesz ci na mnie zależeć tak samo, jak mnie zależy na tobie. A teraz biegnij już lepiej do domu, robi się chłodno. - Odprowadził ją do drzwi. - Dobranoc, Jane. Spodobało jej się, że nie wywierał na nią presji ani nie próbował jej pocałować.

- Fajny facet z tego Davida - stwierdził Peter, gdy siedzieli potem w kuchni. - Nie chcę się wtrącać w twoje sprawy, ale... przebaczysz mi?

- Właśnie się nad tym zastanawiam. Zaufanie jest dla mnie czymś ważnym. A okazało się, że on mi nie ufał.

- Następnym razem będzie lepiej. Tylko daj mu jeszcze jedną szansę!

- Z twojego małego braciszka będzie kiedyś dobry lekarz - stwierdził David w środę. - Zadawał mi szalenie interesujące pytania.

- Ty też przypadłeś mu do gustu - odrzekła Jane. - Ale to może jedynie świadczyć o tym, że rodzina Cabotów nie zna się na ludziach.

- Chyba zasłużyłem na ten przytyk... Wciąż czujesz się zraniona?

- Tak - odparła po chwili namysłu. - Potrafię cię zrozumieć, ale mimo to czuję, że byłeś wobec mnie niełojalny.

W piątek, wróciwszy do domu, zastała czekający na nią list - i od razu wiedziała, od kogo. W pierwszym odruchu przeczytanie go chciała odłożyć na później, lecz w końcu przełamała obawy.

List wysłano z małego miasteczka w hrabstwie Yorkshire. Brzmiał on następująco:

Droga Jane!

Niektóre partie tego listu napisałam wiele tygodni temu. Albowiem już od dawna wiem, co chcę Ci powiedzieć - a przynajmniej tak mi się wydaje. Skontaktowałam się z agencją, mając nadzieję, że Ty skontaktujesz się z nami, toteż list od Ciebie niezwykle nas ucieszył. To świetnie, że jesteś zadowolona ze swojej pracy w szpitalu. Ufam, że w swoim czasie znajdziesz też mężczyznę, którego zechcesz poślubić i z którym będziesz szczęśliwa. Chciałabym zapytać Cię o tyle rzeczy! Ale wolałabym zrobić to osobiście - oczywiście pod warunkiem, że i Ty chcesz tego spotkania.

Chciałabym też poinformować Cię o paru sprawach. Traktuj te informacje jako wyjaśnienie, a nie jako próbę usprawiedliwiania się. Zależy mi, żebyś wiedziała, w jakich okolicznościach trafiłaś do adopcji. Nawet nie masz pojęcia, jak trudna była dla mnie ta decyzja.

Prawie trzydzieści lat temu, gdy miałam osiemnaście lat, zaszłam w ciążę. Byłam wówczas na pierwszym roku studiów pedagogicznych i marzyłam o tym, by uczyć dzieci w szkole podstawowej. Chodziłam z chłopcem o imieniu Colin. Był o rok starszy ode mnie i w owym czasie wyjechał na dziesięć miesięcy do Afryki, by pracować tam w szkole. Nasz związek był poważny, ale wiedziałam, jak bardzo Colinowi zależy na tym wyjeździe, i nie chciałam być mu przeszkodą - mimo iż zdawałam sobie sprawę, że będę za nim tęsknić.

Dwa tygodnie po jego wyjeździe dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Nie było żadnego sposobu, żebym mogła się z nim skontaktować. Moi rodzice nie żyli - Wychowywała mnie ciotka, a wiedziałam, że na jej pomoc nie mogę liczyć. Nie chciałam usuwać tej ciąży i sama podjęłam decyzję

o urodzeniu Cię. Potem przekonano mnie, że dla Ciebie najlepiej będzie, jeśli trafisz do adopcji. Pamiętaj, że trzydzieści lat temu wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż teraz - samotne matki, a tym bardziej pracujące, należały do rzadkości.

Gdy Colin wrócił do kraju, nie powiedziałam mu, co się wydarzyło. Zrobiłam to dopiero trzy lata później, już po naszym ślubie. Wiadomość ta wywarła na nim ogromne wrażenie, chciał się z Tobą natychmiast skontaktować. Ja jednak uważałam, że dla Ciebie lepiej będzie, jeśli tego nie zrobimy.

I Colin, choć niechętnie, przystał na to.

Teraz jesteśmy małżeństwem od dwudziestu pięciu lat. Colin jest kierownikiem szkoły podstawowej, w której uczę na pół etatu. Oprócz Ciebie mamy dwoje dzieci: osiemnastoletnią Marię i dwudziestojednoletniego Marka. Są Twoim rodzeństwem, więc zapewne jesteście do siebie podobni.

Chciałabym spotkać się z Tobą chociaż raz. Tak często o tym myślałam i wyobrażałam sobie to spotkanie! Nie pisałam do Ciebie wcześniej po części z tchórzostwa, a po części dlatego, że obawiałam się, iż mogłabym zakłócić Twój spokój. Ale teraz wiem, że bardzo pragnę Cię zobaczyć. Choć oczywiście zrozumieć, jeśli odmówisz. Masz swoje życie, a ja nie mam prawa niczego się od Ciebie domagać.

Pozdrawiam Cię serdecznie - Marion Stott

Pod spodem było jeszcze jedno zdanie, dopisane innym charakterem pisma: „Ja również bardzo chcę się z Tobą spotkać. Niech Bóg ma Cię w swojej opiece - Colin Stott”.

Przeczytała list cztery razy. Targały nią rozmaite emocje,

ale jednego była pewna: ten list bardzo ją poruszył. Wydawało jej się, że panuje nad uczuciami, nad swoim nastawieniem do prawdziwej rodziny; ale okazało się to złudzeniem. Najpierw kłopoty z Davidem, pomyślała, a teraz jeszcze to; jak sobie z tym wszystkim poradzę?

Ale życie musi toczyć się dalej. Poszła więc się przebrać i ruszyła na próbę chóru.

Powinna była jednak zostać w domu, bo czuła się tak rozstrojona, że okropnie fałszowała, sprawiając, że brzącający już niemal profesjonalnie zespół na chwilę znów zmienił się w grupę amatorów.

Tamtego wieczoru zamierzała też odbyć dyżur w telefonie zaufania. Ale na szczęście - widząc, co się z nią dzieje - odwołała go. Będąc w takim stanie, zamiast pomóc innym ludziom, mogłaby im tylko zaszkodzić.

W sobotę czuła się już trochę lepiej. Ale ledwie dotrwała do końca meczu, kompletnie nie mogąc się skupić. A już najgorsze było to, że zawodniczki wcale nie miały do niej pretensji. „Wszyscy miewamy kiepskie dni”, stwierdziła do brodusznie Margaret, a Jane pomyślała, że wołałaby, żeby na nią nakrzyczała.

W niedzielę rano uświadomiła sobie, że w ten sposób długo nie pociągnie. Wciąż chodziła jak we śnie, niepotrzebnie powtarzając pewne czynności, a o innych zupełnie zapominając. A przecież następnego dnia, w poniedziałek, musi być przytomna i gotowa do pracy! Uznała, że dobrze jej zrobi rozmowa z kimś, kogo stać na obiektywizm i kto panuje nad emocjami.

Zadzwoiła do Davida.

- Potrzebuję rady - oznajmiła bez wstępów. - Ale to nie

ma nic wspólnego z nami, to wyłącznie mój własny problem. Chcę, żeby ktoś postronny powiedział mi, co mam zrobić.

- W odniesieniu do ciebie, Jane, chyba nie chcę być osobą postronną... Ale chętnie służę ci pomocą. Przyjechać do ciebie czy może ty wpadniesz do mojego mieszkania?

- Nieee... wolałabym spotkać się z tobą na gruncie neutralnym. Podjedź samochodem, a ja wezmę swój.

- Jak chcesz. Tylko pamiętaj, że na dworze jest zimno.

- Masz rację. Wobec tego spotkajmy się w pubie „Pod Starym Promem”, za torami kolejowymi. Wiesz, gdzie to jest?

- Mniej więcej. Nie ma obawy, trafię. O której?

- Wpół do pierwszej?

- Zgoda. A więc do zobaczenia.

Zanim zdążył się rozłączyć, dodała:

- Tylko pamiętaj, że nie chodzi o nas. Mam inne sprawy na głowie.

- Rozumiem. Ale i tak cieszę się, że właśnie do mnie zadzwoniłaś.

Gdy przybyła na miejsce, samochód Davida stał już na parkingu, a on sam - mimo chmurnej i wietrznej pogody - siedział na drewnianej ławeczce przed pubem. Tak jak ona, miał na sobie grubą kurtkę z kapturem. Na jej widok podniósł się i nieśmiało uśmiechnął.

- Kupiłem kawę i kanapki. Ale jeśli chcesz, zamówię ci wino.

- Nie, dzięki, kawa mi wystarczy. Możemy zostać tu, na powietrzu?

- Jak sobie życzysz. Peter już wyjechał?

- Tak. Chce, żebyśmy niedługo odwiedziła go w Londynie.

Nalał jej kawy, a ona otuliła dłońmi gorący kubek.

- To bardzo ładna okolica. Posiedzę sobie, podziwiając widoki, a ty trochę się uspokój i zbierz myśli. Gdy będziesz gotowa, zacznij mówić.

Przez dobre pięć minut siedzieli w milczeniu, patrząc na rzekę i wzgórze.

- Mówiłam ci, że zostałam adoptowana - odezwała się wreszcie. - I że moja biologiczna matka chciałaby się ze mną zobaczyć. Poradziłeś rrrii, żebym się nie śpieszyła z podjęciem decyzji. W chwili, gdy poczułam, że tego chcę, napisałam do niej list. A ona od razu mi odpisała. Jej Ust głęboko mnie poruszył. Nie wiem, co myśleć ani robić.

Wręczyła mu list. Przeczytał go dwukrotnie, a następnie włożył z powrotem do koperty.

- A wydaje ci się, że co myślisz? - spytał. - O ile to zdanie ma jakikolwiek sens...

- Wydaje mi się, że jestem zagubiona. I że w moim życiu zapanował chaos. Mam już rodzinę, nawet jeśli składa się ona tylko z Petera. Nie jestem pewna, czy chcę mieć jeszcze jedną.

- Martwisz się o to, jak Peter by się z tym czuł? Widziałem go wprawdzie tylko raz, ale zrobił na mnie wrażenie zrównoważonego człowieka. Sądzę, że bez kłopotu poradziłby sobie z tą sytuacją.

- Chyba masz rację. Problem raczej w tym, że jeśli ich poznam, to oni staną się... realni. Nie będę już mogła wyrzucić ich z pamięci, rozumiesz? I to mnie przeraża. Może lepiej było do nich nie pisać.

- Gdybym był na twoim miejscu, też miałbym podobne obawy i wątpliwości. - Podał jej tackę z kanapkami. -

Zjedz coś, to ci dobrze zrobi. A wracając do sprawy: uważam, że jesteś dziewczyną z charakterem. Nie wycofujesz się z walki, nie unikasz konfrontacji. Już ja coś o tym wiem... Myślę, że jeśli się z nimi nie spotkasz, to nigdy sobie tego nie darujesz. I do końca życia nie zaznasz spokoju.

- Tak, chyba tak - zgodziła się z nim, przeżuując kęs kanapki z szynką. - Wiem, że muszę się z nimi zobaczyć.

Znów sięgnął po list i przeczytał go jeszcze raz.

- Mogę się mylić... i wcale nie wiem, czy powinienem ci to mówić. Ale wydaje mi się, że coś w tym liście uszło twojej uwagi.

- Przecież czytałam go sto razy!

- Może brak ci dystansu.

- Nie denerwuj mnie, znam go na pamięć. Nie mogłam niczego przeoczyć.

- Mówiłem ci, że może się mylę. Ale czemu zwlekali tak długo i czemu napisali właśnie teraz? I co z tą ostatnią, dopisaną linijką?

- No, ty mi powiedz: co z nią?

- Zastanawiam się, czy jedno z nich nie jest przypadkiem. .. poważnie chore. I może chcą uporządkować swoje życie, zanim będzie za późno.

- Daj mi ten list! - Kolejny raz przebiegła wzrokiem po tekście. - Tak, rozumiem, o co ci chodzi. Jak na kierownika szkoły, Colin ma raczej nierówne, prawie nieczytelne pismo.

- Tak jakby z trudem utrzymywał pióro.

Spojrzała na niego z niekłamanym podziwem: któż inny mógłby na to wpaść?

- Więc co mam zrobić?

- Na moment przestań o tym myśleć i zjedz jeszcze jedną kanapkę. Spójrz, na niebie jest klucz gęsi! Lecą do Kanady.

- Żałuję, że nie jestem ptakiem - powiedziała, patrząc w górę. - Ptaki są takie... wolne.

- Ale i one mają swoje problemy. Gdybyś była gęsią mamą, musiałabyś strzec swoich jajek przed ludźmi takimi jak ja. Bo ja bardzo lubię gotowane gęsie jaja.

- Więc gęsi mają o tobie tak samo kiepskie zdanie jak ja.

- Zaśmiała się krótko. - Czyli - nie jestem osamotniona w swojej opinii.

Dolał jej jeszcze kawy.

- No, już mi lepiej - wyznała. - I już wiem, co zrobię. Spotkam się z nimi, prawda?

- Prawda. I zobaczysz, że nie pożałujesz. Chyba powin-
naś zrobić to jak najszybciej. Może w następny weekend?

W pierwszym odruchu chciała zaprotestować, ale po chwili zmieniła zdanie.

- Tak, to całkiem dobry pomysł.

- Wiesz co? W tym liście podali ci swój adres e-mailowy. Jestem od niedawna podłączony do Internetu, więc może jedźmy do mnie i prześlijmy wiadomość od razu?

- Jak na osobę postronną, bardzo się angażujesz w moje sprawy...

- I zamierzam się zaangażować jeszcze bardziej. Jeśli następny weekend będzie dla nich dogodny, to chętnie zawiozę cię na miejsce. Pozwiedzam sobie okolicę, a ty spokojnie się z nimi poznasz. Lepiej żebyś sama nie prowadziła, bo pewnie będziesz trochę zdenerwowana.

Siedziała bez słowa, rozważając jego propozycję. Wiedziała, że gdy tylko podejmie decyzję, wszystko stanie się

prostsze - bo najbardziej męczyła ją niepewność i własne niezdecydowanie. A przecież wiedziała już, że chce się z nimi zobaczyć; zwłaszcza jeśli jedno z nich jest chore.

- Zgoda, napiszemy do nich. A co ty sam będziesz z tego miał?

- Liczę, że w ten sposób zapracuję na twoje przebaczenie. Choć zapewne nie od razu...

Każde z nich wsiadło do swojego samochodu i pojechali do mieszkania Davida.

- Jak mam sformułować tę wiadomość? - spytała.

- Najlepiej krótko, prosto i bezpośrednio. Napisz, że dostałaś list i że chciałabyś wpaść w następną sobotę lub niedzielę. Powiedzmy, o pierwszej.

Wystukała tekst na klawiaturze komputera.

- Może być? - Z aprobatą skinął głową. - A jak mam się podpisać? Z poważaniem? Pozdrowienia? Całuję?

- Z całowaniem ostatnio u ciebie nie najlepiej... Wystarczy samo „Jane”.

Wystukała swoje imię.

- Myślisz, że wszystko pójdzie dobrze?

- Tak. Większość ludzi sprawdza pocztę elektroniczną przynajmniej raz dziennie. Dam ci znać, kiedy będzie odpowiedź.

Nagle ogarnęło ją zmęczenie.

- Te emocje sporo mnie kosztowały...

- Co zamierzasz teraz robić?

- Nic szczególnego. Tylko proszę, nigdzie mnie nie zapraszaj, nie nadaję się jeszcze do ludzi.

- Nie mogę cię nigdzie zaprosić, bo czeka mnie masa roboty. - Wskazał głową komputer. - Będę przy nim śleczął

przez całe popołudnie. Ale jeśli masz ochotę, to posiedź sobie w salonie i popodziwiaj widok z okna. To niezwykle relaksujące, robię to w każdej wolnej chwili.

Usiadła więc na kanapie i jak zahipnotyzowana patrzyła na rzekę. Marzyła wyłącznie o tym, żeby choć przez chwilę nie myśleć. Przymknęła oczy - dosłownie na minutkę...

Kiedy znów je otworzyła, na dworze panował półmrok.

- Cały czas spałam?

- Tak. Byłaś zmęczona. A sen to naturalny sposób radzenia sobie ze stresem. Zrobić ci coś do jedzenia?

- Nie, dzięki. - Ziewnęła przeciągle. - Wypiję tylko kawę, i wracam do domu.

Wypił z nią kawę, a potem odprowadził ją na dół do samochodu. Otworzywszy drzwi forda, odwróciła się i pocałowała go w policzek.

- Dziękuję, Davidzie, bardzo mi pomogłeś.

Ledwie weszła w próg, Sue oznajmiła jej, że przed chwilą dzwonił David i że prosi ją o telefon.

- Pogodziliście się? - spytała.

- Coś w tym rodzaju. Zobaczymy, jak rozwinie się sytuacja.

Od razu do niego zatelefonowała.

- Jest odpowiedź na twoją wiadomość - powiedział. -

Posłuchaj, przeczytam ci ją: „Czekam w sobotę o pierwszej. Cieszę się z tego spotkania, ale też trochę się go obawiam. Całuję, Marion”.

- A więc ona czuje dokładnie to samo co ja. Ciekawe, jak się to wszystko potoczy...

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jane pracowicie spędziła czas, jaki dzielił ją od wizyty u rodziców. W szpitalu, jak zwykle, nie brakowało roboty; trafiły im się nawet trzy wyjątkowo długie operacje. Często widywała się z Davidem, tyle że nie sam na sam. Ale ich relacja wróciła niemal do poprzedniego stanu.

Odbyła też dwie próby chóru i wzięła dodatkowy dyżur w telefonie zaufania, jako że jedna z koleżanek miała zwolnienie. Prawdę mówiąc, była zadowolona z tego nawału zajęć, bo pomagały jej oderwać się od własnych problemów.

W piątek omówiła z Davidem szczegóły ich wspólnej wyprawy.

- O której po ciebie przyjechać? - spytał.

- Około dziewiątej. Wiesz, chciałabym to już mieć za sobą. Jednak trochę się denerwuję.

- Rozumiem, i całym sercem jestem z tobą. I cieszę się, że jutro spędzę z tobą tak dużo czasu.

- Nie licz na to, że będę uroczą towarzyszką podróży...

A kto wie, jak będę się czuła potem?

Wieczorem długo siedziała na łóżku, zastanawiając się, co ma na siebie włożyć. W żadnym z kobiecych pism nie natknęła się nigdy na artykuł o tym, jak należy się ubrać, jadąc z wizytą do matki, której nie widziało się od trzydziestu lat.

W końcu zdecydowała się na błękitny żakiet ze spodniami i granatowy prochowiec.

Nazajutrz David zjawił się punktualnie o dziewiątej. Był ubrany w sportową wełnianą marynarkę, ciemną koszulę i krawat.

- Przez cały wieczór dumałam nad tym, jak powinnam się ubrać - zwierzyła mu się.

- Jedziesz na spotkanie z matką. To ty ją interesujesz, a nie twój strój. Przekona się, że jesteś śliczna, i na pewno się ucieszy.

- Gdybym cię nie znała, podejrzewałabym, że wyuczyłeś się tego tekstu na pamięć.

- Nieprawda, powiedziałem to spontanicznie.

- Wobec tego dzięki za dobre słowo. No, ruszajmy.

Na początku niewiele rozmawiali, bo Jane była zatopiona w myślach. Ale po godzinie poczuła, że zaczynają nosić.

- Przyjeżdżamy na miejsce - powiedziała zdesperowana - drzwi się otwierają i... co mówię? „Hej, to ja, wasza odnaleziona córeczka”? Czy może: „Miło mi panią poznać, pani Stott”? A jeśli im się nie spodobam?

- Panikujesz - odparł spokojnie. - To zupełnie zrozumiałe. Powiem wręcz, że to dobry znak. Każdego, kto nie panikowałby w takiej sytuacji, posądziłbym o nienormalność.

Ale wiesz co? Najlepiej niczego nie planuj. I pamiętaj, że oni boją się pewnie jeszcze bardziej niż ty. Jesteś sympatyczna z natury, bądź po prostu sobą.

Przez następne pół godziny znów jechali w milczeniu. Ale Jane ponownie nie wytrzymała.

- Wiem, że twoje stosunki z rodzicami układają się bardzo dobrze. Ty kochasz ich, oni ciebie. Co by było, gdyby

się okazało, że masz jeszcze jakichś innych rodziców? Co byś wtedy czuł?

- Byłbym przerażony. I kompletnie zaskoczony. Ale jestem tak podobny do ojca, że nigdy by mi to nie przyszło do głowy. Czy wspomniałaś o tej sprawie Peterowi?

- Jeszcze nie, ale zrobię to, bo nie mamy przed sobą tajemnic. Chcę mu to jednak powiedzieć osobiście i dopiero wtedy, gdy będę miała coś konkretnego do powiedzenia. Ojej, ta podróż jest taka długa; nie mogę już znieść oczekiwania!

- Mam pewien pomysł. - Skręcił na pobocze przy stacji benzynowej.

- Chcesz się czegoś napić? - spytała. - Czy może dokupić benzyny?

Ale on podjechał na sam kraniec parkingu i zatrzymał wóz w pobliżu dużych drzew. Bez słowa objął ją i pocałował.

Zupełnie się tego nie spodziewała. Co on sobie wyobraża? Wcale nie chce, żeby ją całował! Ale odpychając go, nagle poczuła, że jednak tego chce.

Pocałunek był długi, kojący... Z przyjemnością go odwzajemniła.

Gdy skończyli, spojrzała na niego z wyrzutem.

- Zrobiłeś to tylko po to, żebym przestała myśleć o rodzicach.

- Ależ skąd! Marzyłem o tym od tygodnia.

- Musimy się z tym wstrzymać: najpierw wizyta.

- Dobrze. Pod warunkiem, że jak tylko stamtąd wyjdiesz, to zaczniemy od nowa.

Po tym małym urozmaiceniu Jane poczuła się lepiej. Gawędzili o pracy, znajomych, planowanym występie chóru. Ale gdy byli już blisko celu, znów wpadła w panikę".

Z początku uzgodnili, że David podrzuci ją przed dom i wróci po nią po dwóch godzinach. Teraz jednak zmieniła zdanie.

- Chcę, żebyś podszedł ze mną do drzwi. Sama nie dam rady.

- Dałabyś radę, ale zrobię, jak sobie życzysz. Jak mnie przedstawisz?

- Jako przyjaciela i kolegę z pracy.

- Na początek dobre i to - zauważył pogodnie. - Nasza znajomość może się przecież rozwinąć, nieprawda?

Wreszcie dotarli do miasteczka i znaleźli właściwą ulicę. Zatrzymali się przed ocienionym drzewami domkiem z ogrodem. Jane spojrzała na zegarek: była za pięć pierwsza.

David wysiadł z samochodu i jak zwykle otworzył jej drzwi. Ale ona jakby przyrosła do siedzenia.

- No już, wysiądź i uśmiechnij się. Wiem, że cię na to stać. - Wyciągnął do niej rękę.

Niezdarnie wygramoliła się z auta i mimo że serce waliło jej jak młotem, zdobyła się na uśmiech. Otworzyli bramę ogródka i przeszli obok szarego mondeo. Drzwi frontowe uchyliły się, zanim zdążyli do nich podejść.

Nie wykrztuszę z siebie słowa, pomyślała. Miała ochotę się odwrócić i uciec.

W drzwiach pojawiła się szczupła, elegancka kobieta o lekko posiwiałych włosach. Na jej twarzy malował się pełen wyczekiwania niepokój. Choć Jane nie widziała tej twarzy od dwudziestu dziewięciu lat, natychmiast ją rozpoznała.

- Jesteś moją córką, prawda? - domyśliła się Marion Stott, rozpościerając ramiona.

W drogę powrotną wyruszyli o dziewiątej wieczorem: z dwóch godzin zrobiło się osiem. .

- No i jak się czujesz? - spytał David, gdy byli już na autostradzie. - Chyba się cieszysz, że przyjechałaś?

- Tak, można tak powiedzieć, na pewno. I myślę, że dogadam się też z bratem i siostrą, kiedy już ich poznam. Tyle że dla nich to może być trudne, skoro są tak zżyci.

- Nie martw się, matka ich na to przygotuje.

Gdy przyjechali, w domu była tylko pani Stott. Podczas serdecznego powitania w przedpokoju David wymknął się do kuchni i zrobił herbatę dla nich trojga. W salonie czekały już na nich kanapki - wszystko było przygotowane na przyjazd Jane. Potem David poszedł do ogrodu, zabierając z sobą gazetę. Gdyby był im potrzebny, miały go zawołać.

- Gdzie reszta rodziny? - spytała Jane, gdy została sama z Marion.

- Pomyślałam, że na początek będzie lepiej, jeśli spotkamy się tylko my dwie. Nie chciałam, żebyś czuła się... przytłoczona. Dlatego Maria i Mark poszli w odwiedziny do przyjaciół. Woleliby zostać, ale chciałam ci to wszystko ułatwić ... Wiedzą o tobie od dnia osiemnastych urodzin Marka. Uznałam, że mają do tego prawo. Bardzo na nas naciskali, żebyśmy cię odnaleźli.

- A... pan Stott? - Poczwała, że ma tego dość. - Jak zwracają się do was Mark i Maria?

Marion spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Mamo i tato. Czy i ty...? Naprawdę mogłabyś...?

- Oczywiście. Przecież tym właśnie dla mnie jesteś, prawda? Fakt, że miałam też inną mamę, którą kochałam, w niczym nie przeszkadza. A więc, gdzie tata?

Oczy pani Stott zaszyły łzami.

- Jest w szpitalu. Bardzo chciał być w domu, ale to niestety niemożliwe... Kilka miesięcy temu zaczął mieć straszne bóle głowy. Potem zaczął tracić równowagę, znieacka upadać. Próbował się tym nie przejmować, ale lekarz ogólny wysłał go do szpitala na badania. Okazało się, że to guz mózgu. Dano nam jednak nadzieję, że niezłośliwy. W przyszłym tygodniu będzie miał operację.

- Rozumiem... Słuchaj, mam, byłam przy wielu udanych operacjach mózgu, więc nie trać nadziei. Wiem, że to poważna sprawa, ale niekoniecznie wyrok śmierci. Czy możemy go kiedyś odwiedzić?

Teraz, wracając do domu, Jane rozmyślała o tym wszystkim. Ponownie doszła do wniosku, że postąpiła słusznie, decydując się na spotkanie.

Przed wyjazdem umówiła się z matką, że znów przyjedzie w następny weekend, już bez Davida, i zostanie na noc. Wtedy pozna też swoje rodzeństwo.

- Obawiała się, że nie będę chciała jej znać - zwróciła się teraz do Davida. - Kiedy usłyszałam, przez co przeszła, aż się rozplakałam. W ciąży po pierwszym zbliżeniu, zagubiona i bezradna, zakochana w moim ojcu, z którym nie miała się jak skontaktować. Naciskano na nią, żeby zgodziła się na aborcję. Nawet wtedy dałoby się to załatwić... Ale ona nie ustąpiła. Na starą ciotkę, która ją wychowywała, nie mogła liczyć. Musiała się czuć okropnie osamotniona. - David zdjął rękę z kierownicy i pogłaskał ją po ramieniu. - Wciąż pytała, czy jej przebaczam. Zapewniłam ją, że tak, oczywiście. Nie wiem, jak ja sama bym się zachowała w podobnej sytuacji...

- Ty umiesz przebaczać, Jane, wiem coś o tym.

- Mówisz serio czy kpisz?
 - Mówię jak najbardziej serio. Choć przyznaję, że mam w tym swój interes...
 - No dobrze - westchnęła - przebaczam ci.
- Odpiął pas, nachylił się ku niej i pocałował ją w policzek.
- Jesteś dla mnie taka dobra!
 - Natychmiast zapnij pas! Mnie wciąż o tym przypominasz.
 - To prawda - przyznał, posłusznie spełniając polecenie.
 - Czy mam rozumieć, że nadal będziemy się spotykać?
 - Skoro tego chcesz... Ale pamiętaj, że to niezobowiązująca znajomość.

Kątem oka dostrzegła, że odwrócił głowę i spojrzał na nią - ale nie odezwał się.

Gdy zajechali przed dom, jeszcze raz podziękowała mu l za pomoc. Nie zaprosiła go do środka, tłumacząc, że czuje się zmęczona. Oczywiście potrafił to zrozumieć.

Przywitała się z Sue i Megan i od razu poszła do siebie. Leżąc w łóżku, wróciła myślami do spotkania z matką. A potem nagle przypomniała sobie, co powiedział jej najpierw Peter, a później sam David. Czy to możliwe, że naprawdę ją kocha? Musi się nad tym porządnie zastanowić. Ale nie teraz - teraz chce już zasnąć.

Spała mocnym, spokojnym snem i nazajutrz obudziła się w dobrym nastroju. Chętnie zadzwoniłaby do Davida, ale już wcześniej powiedział jej, że będzie zajęty w szpitalu, nadzorując instalowanie nowego wyposażenia anestetycznego.

Pogoda była ładna, toteż z przyjemnością wyszła na dwór po niedzielne gazety.

- Wasz szpital ma kłopoty - zwrócił się do niej kioskarz, pokazując jej egzemplarz brukowca, którego nigdy nie kupowała.

Marszcząc brwi, spojrzała na okładkę i przeczytała wielki nagłówek: „Konsultant pobiera dwa wynagrodzenia za tylko jedną pracę”. Poniżej widniało zdjęcie Megan, podpisane słowami: „Młodsza lekarka wyznaje całą prawdę”. Przerażona schwyciła gazetę, zapłaciła za nią i pędem pobiegła do domu.

Megan i Sue jeszcze spały. Jane zrobiła dwie herbaty i poszła porozmawiać z Sue.

- Co jest? - wymamrotała zasnana Sue. - Pali się czy co?

- Prawie - odparła poważnie Jane. - Pij herbatę i rzuć okiem na ten artykuł.

Była w nim mowa o Charlesie Liffleyu, konsultancie, z którym pracowała Megan. Konsultantom wolno było podejmować pracę zarówno prywatnie, jak i w państwowej służbie zdrowia, pod warunkiem, że starannie oddzielali jedno od drugiego. Z artykułu wynikało, że Liffley nie całkiem zastosował się do tej zasady, choć autor posługiwał się raczej aluzjami, podejrzewaniem i domniemaniami, a nie faktami. Ale wrażenie i tak było fatalne.

- Co zrobimy? - zastanawiała się Jane. - Megan jeszcze nic nie wie.

- Obudź ją i pokaż jej to - zaproponowała Sue. - Niech się spakuje i wynajmie pokój w przyszpitalnym hotelu. Nasz dom znajdzie się niedługo pod oblężeniem. Już widzę tych wszystkich dziennikarzy i reporterów z lokalnej telewizji...

- Masz rację - zgodziła się z nią Jane. - Kładź się z powrotem spać, a ja wyekspediuję Megan i w razie czego zajmę się tymi hienami.

Oczywiście, Megan okropnie się zdenerwowała.

- Wiem, kto to zrobił - zatkała. - Jeremy Parks. A ja myślałam, że jest moim przyjacielem! To zdjęcie musiał mi wyciągnąć z torebki.

- Ubieraj się i zmykaj stąd - popędzała ją Jane.

Ledwie Megan odjechała swoim autem, przez szparę w zasłonach Jane zobaczyła, jak przed ich domem parkuje jakiś samochód, blokując wyjazd. Wysiadł z niego otyły mężczyzna o niesympatycznym wyglądzie i mocno zastukał do drzwi, naciskając jednocześnie dzwonek.

- Jestem Roy Fuller. Chciałbym mówić z...

- Proszę natychmiast zabrać stąd ten samochód - ostro przerwała mu Jane. - Blokuje wyjazd.

- To nie zajmie dużo czasu. Chciałbym tylko...

- Proszę zabrać samochód - powtórzyła zdecydowanie, usiłując zamknąć drzwi, które mężczyzna przytrzymał ręką.

- I jeśli nie weźmie pan tej ręki, to zadzwonię na policję

- ostrzegła go. - Zabieraj pan samochód!

- Zaraz go zabiorę - zapewnił mężczyzna z pojednawczym uśmiechem. - Możemy pogadać? To pani jest Megan Taylor?

- Megan tu nie ma i w najbliższym czasie nie będzie. A ja nie mam panu nic do powiedzenia. - Zatrzasnęła drzwi.

Zobaczyła, jak mężczyzna wsiadł do samochodu i zaparkował go kilka metrów dalej, przy krawężniku. Ale nie odjechał sprzed domu.

Przez całą resztę dnia Jane odprawiała z kwitkiem natrętnych „gości”. Niektórzy zachowywali się uprzejmie, inni po grubiańsku. Jedni chcieli zostawić jej swój numer telefonu, inni proponowali pieniądze. Jednak ze wszystkimi sobie poradziła.

Wyłączyła telefon, ale około południa przez komórkę zła-
pał ją przewodniczący zarządu szpitala. Powiedział, że Me-
gan jest pod dobrą opieką i że niedługo w szpitalu odbędzie
się konferencja prasowa. Podziękował też Jane za to, że tak
dzielnie się spisala.

Jakiś czas później zadzwonił David.

- Właśnie się dowiedziałem, co się stało. Już do was jadę.
- Lepiej nie. Dziennikarze wprawdzie odjechali, ale
w każdej chwili mogą wrócić. Twoja obecność mogłaby nam
tylko przysporzyć kłopotów. Byłbyś dla nich nową twarzą,
nowym celem.
- Skoro tak uważasz... Ale gdybym mógł się na coś przy-
dać, dzwonił natychmiast. - Zrobił krótką pauzę. - Kocham
cię, Jane. - Usłyszała trzask.
- Ja też cię kocham - szepnęła po chwili do głuchego
kawałka plastiku.

W poniedziałek rano było już spokojnie - nikt ich nie
napastował, toteż Jane bez przeszkód dotarła do pracy.
W przerwie na lunch poszła z Davidem do stołówki i wrócili
w rozmowie do wydarzeń poprzedniego dnia.

- Nie myśl, że nie chciałam cię zobaczyć, ale to by tylko
pogorszyło sprawę - przekonywała. - Założę się, że nerwy
by cię poniosły. Bo nie powiesz mi, że się nie denerwujesz.
Tyle tylko, że ty krzyczysz po cichu.
- A ty niby jesteś uosobieniem spokoju i zdrowego roz-
sądku, co? Ci dziennikarze nie wiedzą, czego o włos unik-
nęli...

Następnego dnia David przyszedł do szpitala rozpromie-
niony, uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Miło, że jesteś taki zadowolony z życia - zauważyła Jane. - Czy można znać powód tego dobrego humoru?
- Oczywiście. Ale chciałbym ci to powiedzieć na osobności. I chcę cię też o coś zapytać. Wpadniemy gdzieś po pracy na drinka?
- Potrzebujesz aż tyle czasu, żeby zadać mi to pytanie? Muszę przyznać, że jestem zaintrygowana. Powiedz chociaż z grubsza, o co chodzi.
- Nie. Ale zapewniam cię, że to coś miłego. I faktycznie potrzebuję czasu, żeby cię do tego przekonać.
- Zlituj się nade mną, umieram z ciekawości!
- Aleś ty uparta... No dobrze: chodzi o wyjazd. Nie powiem ani słowa więcej.
- Pamiętasz, że w przyszły weekend jadę do rodziców?
- Jeszcze nie wiesz, w czym rzecz, a już odmawiasz? Możemy się spotkać w pubie „Pod Rycerzem” o wpół do szóstej?
- Możemy. Ale później jestem zajęta.
- Nic nowego... Ale, ale: jakim cudem możesz opuścić dwa mecze hokejowe pod rząd?
- Takim, że ze Stanów przyjechała do nas prawdziwa gwiazda. Przez kilka tygodni będzie grać na mojej pozycji. Ja jestem niezła, ale ona jest rewelacyjna. Tak że przez jakiś czas jestem wolna.
- Dobrze się składa - orzekł z tajemniczym uśmiechem.
- Do zobaczenia po pracy.

- Umiesz jeździć na nartach? - spytał, gdy siedzieli już w pubie.
- Uczylałam się, ale nie powiem, że bym była w tym dobra. A ty?

- Ja jestem chyba całkiem niezły. I uwielbiam to. - Spojrzał na nią przenikliwie. - Wspominałaś, że łożyłaś na naukę Petera. Pielęgniarki nie zarabiają zbyt dużo, więc pewnie dawno nie byłaś na prawdziwym urlopie, co?

- No, owszem. Ale żeby miło spędzić czas, nie trzeba wcale wielkich pieniędzy. Czemu o to pytasz?

Rozłożył przed nią gazetę i wskazał palcem nagłówek: „Fantastyczne wakacje do wygrania”.

- Wszystko przez moją mamę - powiedział. - Dwadzieścia lat temu wzięła udział w jakimś konkursie i wygrała samochód. Od tamtej pory znikowaliśmy na punkcie rozmaitych loterii, choć jak dotąd bez większego powodzenia. Ale tym razem mi się udało: wygrałem wakacje w Alpach dla dwóch osób!

- Szczęściarz z ciebie - mruknęła z zazdrością.

- Jako umysł ścisły muszę przyznać, że rachunek prawdopodobieństwa nie przemawia za udziałem w loteriach. Ale jak widać, czasem można coś trafić. - Zrobił krótką pauzę. - Pojedziesz ze mną na te wakacje, Jane?

- Ja? Na wakacje? Z tobą? - Zamurowało ją; jakoś zupełnie nie przyszło jej do głowy, że może jej to zaproponować.

- A czemu by nie? Lecimy z Manchesteru, a potem jedziemy w góry autokarem. Przed pełnią sezonu, w pięknej, wysoko położonej miejscowości. Pięciogwiazdkowy hotel i kurs jazdy na nartach za darmo. Mogłoby być wspaniale.

- Pojechalibyśmy jako... para?

- Nie mam z kim pojechać. Zresztą, najchętniej pojechałbym właśnie z tobą. Nie obawiaj się, niczego się po tobie nie spodziewam. Rozumiesz, co mam na myśli? Jedyne problem

w tym, że to już za niecałe dwa tygodnie. Więc musielibyśmy szybko wystarać się o urlop.

- Muszę to przemyśleć, strasznie mnie zaskoczyłeś. Jutro rano dam ci odpowiedź, dobrze?

- Dobrze.

Wieczorem przewracała się w łóżku z boku na bok, próbując podjąć decyzję. W pierwszym odruchu chciała odmówić. Z drugiej strony perspektywa spędzenia czasu z Davidem, i to w tak ładnym otoczeniu, wydawała się nęcąca. Wierzyła, że nie będzie nalegał, żeby... Ale przecież i tak już o mało nie kochała się z nim... ile to razy? Trzy!

Lubi Davida. Nie, nieprawda - jest w nim zakochana. Dołączyła do rzeszy kobiet, które zadurzyły się w nim mimo jego ostrzeżeń. On naprawdę dużo dla niej znaczy; więcej, niż znaczył kiedyś John Gilmore. I w dodatku twierdzi, że ją kocha... A podobno nie szasta tym słowem. Ale czy należy mu wierzyć?

Mam dwadzieścia dziewięć lat, pomyślała; lubię swoją pracę, śpiewanie w chórze, dyżury w telefonie zaufania i mecze hokejowe; i cieszę się, że poznałam moich prawdziwych rodziców. Ale to wszystko nie wystarcza, żebym mogła powiedzieć, że jestem naprawdę szczęśliwa...

Pragnę Davida, a zarazem boję się, że może mnie opuścić. Więc co powinnam zrobić?

Pojadę z nim na te wakacje. W końcu co mam do stracenia? Już i tak oddałam mu swoje serce...

ROZDZIAŁ ÓSMY

Następnego ranka Jane załatwiła sobie dziesięć dni wolnych i poinformowała o tym Edmunda.

- Mam nadzieję, że w zastępstwie przyślą kogoś, kto będzie ci odpowiadał.

- Też mam taką nadzieję, chociaż różnie to bywa. Wiesz, że David wyjeżdża w tym samym czasie co ty? A tak w ogóle, to dokąd się wybierasz?

Nie lubiła kłamać, więc wybrała półprawdę.

- Niedawno okazało się, że mam krewnych w Yorkshire. Jadę do nich na trochę.

W chwili, gdy kończyła zdanie, do pokoju wszedł David.

- Wszyscy mnie opuszczają - pożalił się Edmund. - Wiesz, Davidzie, ona wyjeżdża w tym samym czasie co ty. Szkoda, że sam nie wziąłem urlopu.

David spojrział na nią pytająco, a ona lekko skinęła głową.

- Na pewno sobie poradzisz - zwrócił się do Edmunda. - Trzeba dać innym szansę popracowania z tobą. Od czasu do czasu wszystkim nam przyda się mała odmiana.

Po południu Jane towarzyszyła Davidowi na inspekcji przedoperacyjnej.

- Tak się cieszę, że się zdecydowałaś - powiedział, gdy skończyli obchód. - Rozumiem, że jedziesz ze mną?

- Jeśli nadal tego chcesz... Ale musi to pozostać absolut-

ną tajemnicą. I przygotuj dla mnie listę rzeczy, które mam zabrać. Spotkamy się na lotnisku. Przyjadę swoim samochodem.

- Zamierzałem wziąć taksówkę. Jesteś pewna, że nie chcesz się przyłączyć? Tak byłoby najwygodniej.

- Nie. Zrobię tak, jak powiedziałam.

- Chyba nie namówiłem cię na coś, do czego nie jesteś całkiem przekonana? Bardzo bym tego nie chciał. Nawet jeśli domyślasz się, jakie są moje pragnienia, nie oczekuję, że je spełnisz. Wiesz to, prawda?

- Znowu przypomniała mi się Anna Deeds. Podkreślała, że grałaś z nią uczciwie.

- Po prostu jestem szczerzy. A na tobie zależy mi o wiele bardziej niż na niej.

- Ty też dużo dla mnie znaczysz. Ale wcale nie wiem, czy to dobrze.

Weszli do pokoju pielęgniarek, w którym nikogo nie było.

- Jesteśmy sami! - ucieszył się i natychmiast ją pocałował. - A więc jedziemy razem na urlop. Nie mogę się już doczekać. Żebyś tylko nie skrzyła nogi!

- Jeśli skręcę nogę, będąc rzekomo u krewnych w Yorkshire, to tobie skręcę kark...

„Afera prasowa” - jak nazwano to w szpitalu - dobiegła końca, toteż Megan wróciła już do domu. Jane postanowiła, że zarówno jej, jak i Sue powie prawdę o swoim wyjeździe.

- Nie będziemy cię od tego odwodzić - zapewniła ją spokojnie Megan. - Jesteś dużą dziewczynką i sama podejmujesz decyzje. Ale pamiętaj, że ja też do niedawna myślałam, że to potrafię. Zaufałam facetowi, i co z tego wynikło?

Okropne przykrości w pracy. Choć przyznaję, że twój przy-
padek jest inny.

- Powiedz, naciskał na ciebie? - zapytała równie spokoj-
nie Sue. - Nie chodzi mi o to, że wyznał ci swoje uczucia.
Ale czy próbował wzbudzić w tobie poczucie winy?

- Nie, nie robił nic takiego.

- To dobrze. No a co z... antykoncepcją? Wiesz, jestem
położną, to moja działka. Oczywiście on na pewno wie, jak
się zabezpieczyć, ale w tych sprawach lepiej nie zdawać się
wyłącznie na tę drugą osobę..

Kiedy w sobotę Jane pojechała do Yorkshire, ze zdziwie-
niem stwierdziła, że ma ogromną ochotę szczerze zwierzyć
się ze wszystkiego również swojej nowej mamie.

- Jesteś pewna, że David szuka tylko przygodnego zwią-
zku? - spytała z powątpiewaniem Marion. - Oczywiście, wi-
działam go tylko raz, ale mam nieodparte wrażenie, że chodzi
mu o coś więcej, że naprawdę mu na tobie zależy. Widziałam,
jak na ciebie patrzył, kiedy nie wiedziałas, że cię obserwuje.
W tym spojrzeniu było tyle czułości... i miłości.

Jeśli chodzi o pana Stotta, to guz okazał się na szczęście
niezłośliwy. Jane poznała też osobiście Marka i Marię, z któ-
rymi udało jej się nawiązać dobry kontakt, mimo że z począt-
ku byli nieco onieśmieleni.

Gdy późnym wieczorem w niedzielę wracała do domu,
miała wyraźne poczucie, że w jej życiu zaszły istotne zmiany.
Choć była bardzo przywiązana do Petera, uświadomiła sobie,
że jej rodzina powiększyła się o cztery nowe osoby. Coraz
większe znaczenie miał też dla niej związek z Davidem - tyle
że nie wiadomo było, jak się dalej rozwinie... Ale nie zaszkodzi
być dobrej myśli, przemknęło jej przez głowę; może już

niedługo wszystko między nami ułoży się lepiej, niż przepuszczam?

Jane uwielbiała lotniska, lubiła panujący tu ruch i hałas; atmosfera podróży przyprawiała ją o miły dreszczyk podniecenia.

Tak jak się umówili, spotkała się z Davidem przy kasach. Podobnie jak ona, ubrany był w kurtkę z kapturem, wełniany sweter, grube spodnie i traktorki.

- Widzę, że jesteś w pełnym rynsztunku - zażartował.

- Ale mam nadzieję, że zabrałaś też stroje wieczorowe?

Wiesz, będziemy hulać po nocach.

- Kupiłam sporo nowych fatalaszków. - Wskazała głową swój ciężki bagaż.

- Więc dołóż jeszcze to. - Podał jej paczkę opakowaną w błyszczący niebieski papier.

- Co to takiego?

- Mały prezent. Jeśli chcesz, możesz otworzyć.

W środku znalazła śliczny kombinezon narciarski z mięciutkiego materiału, w kolorze bordowym.

- Podobno ostatni krzyk mody - oświadczył. - Będziesz w nim cudownie wyglądać.

- Nie powinieneś się na mnie wykosztowywać!

- Skoro wygrałem wakacje, stać mnie było na kupienie ci jakiegoś drobiazgu. Włóż go więc do torby i chodźmy.

Kiedy siedzieli już w samolocie, wzięła go za rękę.

- Dziękuję, że mnie zaprosiłeś. Nie masz pojęcia, jak się cieszę.

Po wylądowaniu niemal od razu przesiadli się do luksusowego autokaru, który ruszył krętą drogą w góry. Wyraźnie

odczuli różnicę temperatur, ale na widok pokrytych śniegiem szczytów zapomnieli o zimnie. Alpy były zachwycające!

Po obu stronach coraz bardziej stromej drogi piętrzyły się wysokie zaspasy śniegu. Kierowca autokaru przystanął na chwilę w jakiejś wiosce i zamienił kilka słów z kierowcą wielkiego pługu śnieżnego. Jak na szkolną francuszczyzną Jane, mówili za szybko; ale David zrozumiał całkiem sporo.

- Mówią, że odsnieżanie jest wyjątkowo trudne, bo spadło więcej śniegu niż zwykle. I obawiają się lawin.

Mężczyzna zajmujący siedzenie przed nimi odwrócił się i mrugnął do nich okiem.

- Nie ma się czym przejmować - zapewnił, mówiąc z amerykańskim akcentem. - Oni tu ciągle rozmawiają o lawinach; tak jak Anglicy o pogodzie.

Wjechali na most. Kierowca wyjaśnił przez mikrofon, że zbudowano go bardzo niedawno i że uważa się go za najwyższe osiągnięcie inżynierii, a droga przez ten most jest jedyną, którą można się dostać do celu ich podróży. Zaciekawiona, Jane wyjrzała przez okno, by spojrzeć na strumień w dole, teraz zamarznięty.

Gdy wyruszyli, świeciło słońce. Teraz jednak niebo zachmurzyło się i wiał silny wiatr; wycieraczki ledwie nadażały z usuwaniem z przedniej szyby grubych płatków śniegu.

- A jeśli będzie burza śnieżna? - zaniepokoiła się Jane.
- Jak wtedy będziemy jeździć na nartach?

- Nie będziemy. Wtedy będziemy siedzieć w restauracji i popijać wino. Albo... baraszkować w łóżku. Auu! - Jane wymierzyła Davidowi kuksańca w żebro.

- Tak postępuję z ludźmi, którzy nadeptują mi na odcisk.

- Uśmiechnęła się słodko. - Pamiętaj, że poważnie traktuję uprawianie sportu. Jeśli nie będę mogła jeździć na nartach, wymyślę coś innego.

- Żaden problem. Tam jest siłownia, basen, sauna, sztuczne lodowisko. Choć tobie pewnie bardziej by odpowiadał ring bokerski...

Wysiadłszy z autokaru, szybko podbiegli do drzwi hotelu, czując na policzkach mróz i wirujące płatki śniegu. Wewnątrz było ciepło i elegancko - lśniące parkiety, boazerie, piękne rośliny w ozdobnych donicach, delikatne dźwięki pianina, cichy szmer rozmów. Natychmiast zapomnieli o szalejących na dworze żywiołach.

Zameldowali się w recepcji, wzięli klucz i poszli do swojego pokoju. Był on gustownie urządzone, stał w nim telewizor, barek i wazon ślicznych kwiatów.

Gdy wniesiono ich bagaż i zostali sami, Jane podeszła do okna. Przez mróz na szybach ledwie było widać niewyraźny zarys gór. A śnieg wciąż padał i padał... I pomyśleć, że wyobrażała sobie, że wróci stąd opalona!

Nagle poczuła się trochę nieswojo. Przypomniała sobie tych kilka razy, kiedy to niemal... kiedy ona i David prawie... Cóż, zmierzali do tego już od dłuższego czasu. I teraz wreszcie będą mogli to zrobić. Ona kocha jego, on ją. Więc czemu się tego obawia?

Jakby czytając w jej myślach, podszedł do niej, położył jej ręce na ramionach i leciutko pocałował w kark.

- Niczym się nie martw, kochanie. Jesteś zmęczona, więc nie podejmuj na razie żadnych decyzji. Zresztą spójrz, są dwa łóżka.

- Zawsze możemy je zsunąć...

Do posiłku zostało im półtorej godziny, toteż wybrali się na przechadzkę.

- Prawdę mówiąc, nie ma tu co zwiedzać - powiedział David. - Parę domów mieszkalnych, wyciągi narciarskie, cztery nowe hotele. Droga wjazdowa i wyjazdowa.

- Więc tam wyżej żyją jeszcze jacyś ludzie?

- Tak. Kilka kilometrów w stąd jest nieduża osada, Valere. Nie ośrodek wypoczynkowy, tylko po prostu wioska.

Oddychając na dworze, czuli, jak powietrze zamarza im w płucach. Nikogo nie spotkali - bo też komu chciałoby się spacerować w taką pogodę?

Gdy wrócili, postanowiła się wykąpać. W łazience - oprócz mydła, szamponu, olejku do kąpieli, puszystych ręczników i kimona - znalazła nawet suszarkę do włosów. Kiedy je suszyła i szczotkowała przed lustrem w pokoju, David poszedł wziąć prysznic. Chcąc wyglądać elegancko, włożyła błękitną jedwabną bluzkę bez rękawów i długą czarną spódnicę z aksamitu. David opuścił łazienkę ubrany w białą koszulę i jasnoszare spodnie.

- Jeśli chcesz, możesz dać mi buziaka - powiedziała żartobliwie. - Dopóki nie zrobiłam makijażu.

Skwapliwie skorzystał z tej propozycji - tak skwapliwie, że po minucie odsunęła go od siebie.

- Miałam na myśli jednego buziaka! - mruknęła z wyrzutem i spojrzała na zegarek. - Włóż marynarkę i idziemy, nieładnie się spóźniać. Poza tym umieram z głodu.

Z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Przy woź kobietę w romantyczne miejsce, namiętnie ją całuje, a ona co mówi? Że spóźnimy się na kolację!

- Kto wie, co mnie czeka! Muszę się solidnie posilić.
- Lekko się zarumieniła.

Szybko zawiązał kolorowy krawat i narzucił marynarkę, po czym zeszli na dół. W barze na początek poczęstowano ich kieliszkiem szampana. Dyskretnie przyglądając się Davidowi, Jane po raz nie wiadomo który doszła do wniosku, że wygląda on niezwykle atrakcyjnie, co nie uszło uwagi zgromadzonych w barze pań. Choć trzeba przyznać, że i ona zrobiła wrażenie na gościach, czego dowodziły rzucane w jej stronę tęskne spojrzenia mężczyzn.

Zaserwowano im kuchnię francuską w całej obfitości i w najlepszym wydaniu. Oczywiście nie zabrakło też francuskie-

go wina. Uważnie wysłuchawszy rad Jean-Claude'a, szefa obsługi, David - ku przerażeniu Jane - zamówił trzy butelki.

- Nie damy rady tego wszystkiego wypić!
- Nic nie szkodzi. Z powrotem je zakorkują i podadzą do jutrzejszej kolacji. Butelki wina wcale nie trzeba wypijać do końca.

- Na przyjęciach, na jakie ja chadzam, trzeba... Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby choć jedna ostała się do następnego dnia.

Po posiłku wypili małą kawę, a następnie ponownie zaszli do baru, by pogadać o pogodzie z innymi gośćmi. Tak jak Jane się spodziewała, większość pań była niezwykle zainteresowana opinią Davida na ten temat. Ale on należy do mnie, pomyślała z satysfakcją, i niedługo będziemy się kochać.

Następnego dnia mieli się rozdzielić. Ponieważ Jane jeździła na nartach znacznie słabiej niż David, dla niej przewidziano kurs od podstaw, na bezpieczniejszych i niżej położonych zboczach.

- Wiesz, chyba zostanę jutro z tobą - powiedział.
- Nie ma mowy! To ja muszę się uczyć, ty już to wszystko umiesz.

- Ale ja chcę być z tobą!
- Będziemy razem wieczorem i w nocy.
- No, chyba że tak.

Gdy wypili drinka, wziął ją za rękę i wrócili do pokoju.

David zdjął marynarkę i rozluźnił krawat. Nie zastanawiając się, co robi, Jane zdjęła przez głowę bluzkę i rozpięła suwak u spódnicy, która bezgłośnie opadła na podłogę. Nie miała na sobie rajstop, toteż została tylko w skąpych czarnych figach i staniczku. Podeszła do okna. Patrząc na wciąż spiący śnieg, usłyszała, jak David również się rozbiera.

- Wszyscy panowie w tym hotelu zazdroszczą mi ciebie - powiedział.

- A mnie zazdroszczą ciebie wszystkie panie. Davidzie, chyba nie będziemy jeździć w taką zawieruchę, prawda?

Stanął tuż za nią i także spojrzął przez okno.

- Nie, nie będziemy. Poczekamy na lepszą pogodę.

Choć jeszcze jej nie dotknął, była aż do bólu świadoma jego bliskości i tego, jak bardzo jej pragnie. Nie odwróciła się, ale była pewna, że zaraz poczuje na sobie jego rękę.

I oczekiwała tego całą sobą, z rozkosznym drżeniem serca.

Przejechał ręką jej włosy, pogładził po ramionach, musnął kark. A ona stała bez ruchu, jak zahipnotyzowana, poddając się urokowi jego miękkiego dotyku. Wiedziała, że później chętnie odwzajemni jego pieśczoły, ale na razie chciała tylko tak stać i czuć na szyi jego ciepły oddech. Nie miała wątpliwości, że i jemu sprawia to ogromną przyjemność.

Zdjął jej koronkowy biustonosz i odrzucił go na podłogę.

Objąwszy ją w talii, masował przez chwilę jej brzuch. Zaraz potem jego dłonie spoczęły na jej piersiach - nabrzmiątych, rozpalonych z podniecenia. Gwałtownie, niemal brutalnie odwrócił ją przodem do siebie i wtargnął językiem w jej usta. Cieszyło ją jego niecierpliwe pożądanie, czuła, jak odpowiada na nie całe jej ciało. Chciała wreszcie...

Rozległo się głośne pukanie do drzwi. Natarczywe, nie-ustępliwe.

- Poczekaj w łazience - szepnął, szybko całując ją w usta.

Przymykając drzwi od łazienki, zobaczyła, jak David sięga po leżący na łóżku szlafrok.

Ona sama nie wypakowała jeszcze swojego, ale na wieszaku wisiało przecież kimono należące do wyposażenia hotelu. Włożywszy je, uznała, że nie będzie się dłużej ukrywać. Skoro to coś tak pilnego, chce osobiście usłyszeć, w czym rzecz. Weszła z powrotem do pokoju.

David rozmawiał z Jean-Claude'em, który nie miał już na sobie stroju służbowego, tylko bryczesy i gruby sweter. '

- Najmocniej państwa przepraszam za to brutalne najście - rzekł ze zmartwioną miną. - Ale, o ile mi wiadomo, pan jest lekarzem, a pani pielęgniarką?

- Owszem - przytaknął David. - Czy coś się stało?

- Niestety tak. - Na jego twarzy malował się niepokój, może nawet strach. - Ta wichura, te opady śniegu... Zwykle mamy tu piękną zimą, a tym razem... Jednym słowem, była lawina. Droga poniżej jest zablokowana, z nowego mostu nie zostało. A ta osada w górze, Vallere, jest niemal kompletnie zniszczona. Od wieków nie było tu takiej lawiny jak ta. Domy zmiecione z powierzchni ziemi, wielu zabitych, ran-

nych, zaginionych... Most właściwie nie istnieje, a widoczność jest tak słaba, że helikoptery...

- Potrzebna jest pomoc medyczna? - domyślił się David.
- I to pilnie...
- Proszę zorganizować transport. Za kwadrans będziemy na dole.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Daj mi jedną minutkę - poprosił, klękając przed nią. Rozsunął poły kimona, objął ją w talii, wtulił twarz w jej piersi. Namiętność, rozniecona niespełna dziesięć minut wcześniej, w jednej chwili znów w nich rozgorzała. Ale oboje wiedzieli, że nie czas teraz na to, że muszą zadowolić się króciutką namiastką szczęścia.

- Wstań - powiedziała, podnosząc go z kolan. - Musimy już iść. Co mam zabrać?

- Ciepłe rzeczy. I takie, których nie obawiasz się pobrudzić, na przykład krwią. Przecież nie mają tam fartuchów.

- Wspaniale - mruknęła z ironią, przetrząsając torbę pełną dopiero co kupionych ubrań.

- I nie zapomnij o szczoteczce do zębów - dodał. - Pewnie nieprędko stamtąd wrócimy.

Dopiero teraz docierała do niej przerażająca prawda o tym, co się wydarzyło.

- A co ze sprzętem, z lekarstwami? Niczego nie mamy. Na szczęście wzięłam chociaż aspirynę i plaster, ale to wszystko.

- Powinien tam być punkt pierwszej pomocy czy coś takiego. Przynajmniej mam taką nadzieję...

Prędko ubrali się i spakowali. Gdy zeszli na dół, hol wyglądał zupełnie inaczej niż poprzednio. Zamiast szykownie

ubranych gości, zastali tam kilkunastu miejscowych mieszkańców w strojach wspinaczkowych.

Podszedł do nich Jean-Claude.

- Musimy natychmiast ruszać. Niedługo całkiem zasypie drogę do Vallere.

Całą grupą wyszli na zewnątrz i wsiedli do dużej półciążarówki. Jean-Claude usiadł za kierownicą i włączył silnik, który głośno zawarczał.

- Nie to co autokar, którym przyjechaliśmy - mruknął pod nosem David.

Światła na niewiele się przydały - widać było jedynie wirujące płatki śniegu. Czasem podskakiwali na wybojach, kiedy indziej wpadali w poślizg. Gdyby Jean-Claude nie był tak dobrym kierowcą...

- Chciałabym wiedzieć, czego się spodziewać - zwróciła się Jane do Davida. – Brałeś kiedyś udział w czymś podobnym?

- Tylko raz, dawno temu. W Szkocji, na jakimś odludziu, zderzyły się autobusy, i pomagałem tamtejszemu lekarzowi ogólnemu. W takich przypadkach właściwie nikogo się nie leczy. Zaczyna się od podzielenia rannych na tych, którymi trzeba zająć się od razu, tych, którzy wkrótce będą potrzebować pomocy, i tych, którzy mogą poczekać. Potem skupiasz się wyłącznie na tym, żeby stan chorych się nie pogorszył, i w odpowiedniej kolejności wysyłasz ich karetką do szpitala. Ale z tego, co mówi Jean-Claude, wynika, że trudno ich stamtąd wydostać.

- Kto będzie tym kierował? Ty?

- Mam nadzieję, że nie. Dobrze, gdyby był tam ktoś panujący nad całością; ktoś, kto nadzorowałby łączność,

transport, opiekę medyczną. Jeśli nie uda nam się przeprowadzić ewakuacji w ciągu dwudziestu czterech godzin, zaczną się problemy z żywnością i noclegiem. Wszystko to przypomina trochę operację militarną.

- Czyli zajmuję się tylko tym, na czym się znam, i posłusznie wykonuję polecenia?

Otoczył ją ramieniem i uściśnął.

- Czy kiedykolwiek zdarzyło ci się posłusznie wykonać polecenie...?

Zamilkli na parę minut. Potem. Jane znów się odezwała:

- Mieliśmy dzień pełen wrażeń. Jeszcze pół godziny temu mogłabym położyć się spać. A teraz wcale nie odczuwam zmęczenia. Jestem gotowa do działania.

- To adrenalina - odrzekł David. - Będzie cię napędzać jeszcze przez jakiś czas. Ale, ale, słyszałaś kiedyś o tak zwanej złotej godzinie?

- Ma związek z upływem czasu po wypadku, prawda?

- Tak. To czas pomiędzy momentem urazu a momentem radykalnego leczenia. Jeśli między wypadkiem a operacją nie upłynie więcej niż godzina, to pacjent ma dużą szansę przeżycia i wyzdrowienia. Natomiast każda chwila zwłoki szansę tę zmniejsza. Obawiam się, że w tym przypadku z jednej godziny zrobi się wiele godzin albo nawet dni. To niezbyt optymistyczna perspektywa.

Gdy dotarli do Vallere, zobaczyli mężczyznę, który wymachując latarką, nakierował ich pojazd na tyły dużego budynku z drewna.

- Dobrze, że się ostał - stwierdził Jean-Claude. - Na szczęście tu lawina przeszła bokiem.

Wygramolili się z wozu i pędem ruszyli do budynku.

W środku siedzieli zbici w grupki ludzie - w większości dziwnie cisi i spokojni, z wyjątkiem tych, którzy jęczeli lub płakali. Widać było, że są w szoku. Kilka osób leżało nieruchomo na podłodze. Pomiedzy nimi krążyło trzech młodych ludzi, roznosząc ciepłe napoje.

Jane zobaczyła kobietę trzymającą się za ramię, z wyrazem bólu na twarzy. Już chciała ruszyć w jej stronę, ale David ją powstrzymał.

- Trzeba najpierw ocenić stan jej obrażeń. Jeśli wszyscy zaczniemy działać spontanicznie, czy raczej bezładnie, to zapanuje straszny chaos.

- Ciężko mi przejść obojętnie obok kogoś, kto cierpi, zwłaszcza jeśli" mogę pomóc.

- Nie obawiaj się, niejednemu tu pomożesz. Chyba kiedyś mi wspominałaś, że miałaś do czynienia z oparzeniami?

- Owszem. Często było to przerażające, ale jakoś sobie radziłam.

- Wydaje się to dziwne, ale po przejściu lawiny wiele osób jest poparzonych. Wiesz, ludzie wpadają na piecyki, kuchenki, grzejniki.

Jean-Claude zaprowadził ich za parawan i szepnął coś do ucha młodemu człowiekowi w zbyt obszernym białym fartuchu.

- Witajcie - zwrócił się ten z uśmiechem do Davida i Jane, mówiąc po angielsku z silnym francuskim akcentem. - Mam na imię Maurice. Jestem lekarzem, tyle że dopiero od roku. Będziemy wdzięczni za waszą pomoc.

Jest jeszcze niedoświadczony, więc brak mu pewności siebie, pomyślała Jane z sympatią. Przypominał jej Petera.

Podszedł do nich inny mężczyzna - starszy i spokojniejszy od Maurice'a, i lepiej mówiący po angielsku.

- Jestem doktor Berfay - przedstawił się. - Kieruję tą akcją. A państwo są... ?

David zwięźle poinformował go o swoich kwalifikacjach. Powiedział też co trzeba o Jane, wspominając o jej praktyce na oddziale oparzeń.

Doktor Berfay pozwolił sobie na nieznaczny uśmiech.

- Pańskie doświadczenie jako lekarza będzie dla nas bardzo cenne, choć zapewne nie w dziedzinie anestezjologii. Siostrzo Cabot, mamy tu ośmiu rannych z oparzeniami. Zechce pani się nimi zająć? Doktor Leclerc... Maurice pokaże pani, czym dysponujemy.

Maurice zaprowadził ją w wydzielone miejsce, gdzie mogła wyszorować ręce, i pokazał jej szafkę z maściami, sterylnymi opatrunkami, pianką w aerozolu na oparzenia.

- Doktor Berfay robi wrażenie dobrze zorganizowanego - zauważyła.

- Był kiedyś żołnierzem - odrzekł Maurice, prowadząc ją do sekcji oparzonych.

Obejrzała wszystkie przypadki i dokonała selekcji. Gdy zrobiła już to, co mogła, wróciła do Maurice'a.

- Mam się zgłosić do doktora Berfaya? - spytała.

- Doktor Berfay i twój David są teraz zajęci. Złamana noga w paru miejscach i uszkodzenie ciała. To się nazywa...?

- Złamanie wieloodłamkowe - odpowiedziała.

- Właśnie. Ale skoro jesteś na razie wolna, to może zechcesz pomóc mi przy bandażowaniu?

Pracowali przez całą noc - trzech lekarzy i z tuzin chęć-

nych, ale niewykwalifikowanych pomocników; Jane była jedyną dyplomowaną pielęgniarką.

Raz czy dwa widziała Davida. Uśmiechnęli się do siebie z daleka, ale nie mieli czasu zamienić z sobą słowa.

Burza śnieżna wciąż szalała, kiedy nadszedł świt.

- Powinna się pani teraz przespać - powiedział Jean-Claude do Jane.

- Nie ma takiej potrzeby, wytrzymam jeszcze przez kilka godzin.

- To nie wystarczy. Ta sytuacja może potrwać parę dni. Nie mamy jak wydostać stąd pacjentów. Wojsko próbuje napędce zbudować prowizoryczny most. Nie wylądują tu żadne helikoptery. Jesteśmy... jak to się mówi? Aha, odcięci od świata.

- No dobrze, wobec tego zdrzemnę się na chwilę.

- Przy łóżku postawiłem pani posiłek: trochę zupy, chleba i sera. - Potrząsnął głową zdegustowany. - Cóż za okropne jedzenie! No ale chodzi przecież o kalorie, nie o smak.

Zaprowadził ją do odległego, ukrytego za parawanami kąta sali przeznaczonego dla lekarzy. Stały tam trzy łóżka polowe. Jane z apetytem zjadła posiłek i położyła się w ubraaniu na jednym z nich. Natychmiast zasnęła jak dziecko.

Jakiś czas później, jeszcze w półśnie, uświadomiła sobie, że ktoś się nad nią pochyla. Otworzywszy oczy, zobaczyła* że to David. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Miał zmierzwione włosy, zarost na brodzie i pachniał szpitalem. A jednak uznała, że nigdy nie wyglądał atrakcyjniej. Wyciągnęła ręce i przytuliła go do siebie.

- Nie taki urlop planowałem - mruknął.

- Ja też spodziewałam się nieco innych atrakcji... Ale, mimo wszystko, jestem z tobą. Przynajmniej od czasu do czasu. To dla mnie najważniejsze.

- Zamierzam się położyć na twoim łóżku. Ale ty, niestety, musisz z niego wstać. Dasz sobie radę, Jane?

- Nie bój się, jestem przecież pielęgniarką. Gdy lekarze zasypiają na stojąco, my wciąż jesteśmy na chodzie. - Wygramoliła się spod koca. - Pięć minut w łazience, i znów będę gotowa do pracy.

- Kocham cię, skarbie - szepnął, całując ją w policzek. Gdy idąc po torbę, odwróciła się i spojrzała na niego, już spał. Jean-Claude wręczył jej kromkę chleba i kubek z kawą, mówiąc, że pogoda wciąż jest fatalna. Gdy zgłosiła się do doktora Berfaya, polecił jej przyłączyć się do Maurice'a.

Razem poszli do sekcji dla poparzonych. Okazało się, że gdy spała, jeden z pacjentów zmarł. Maurice wzruszył ramionami i bezradnie rozłożył ręce.

- W szpitalu pewnie by przeżył, ale w tych warunkach... Nie obwiniaj siebie, zrobiłaś wszystko, co było w twojej mocy.

Wiedziała, że nie może tracić cennej energii na jałowy żal.

- Z resztą chyba nie najgorzej - powiedziała rzeczowo.
- Zmienię im tylko opatrunki.

Nagle, gdy opatrywała ostatniego rannego, usłyszała rozdzierający krzyk. Odwróciła się i zobaczyła, że pomocnicy wnoszą do sali kogoś nowego. Doktor Berfay, podobnie jak David, nareszcie poszedł się przespać, toteż na dyżurze była tylko ona i Maurice. Na twarzy Maurice'a malował się przestach.

Okazało się, że nową pacjentką jest dwudziestopięciolet-

nia kobieta w ciąży. Maurice nachylił się nad nią i zaczął ją niepewnie osłuchiwać stetoskopem.

- Jak długo już rodzi? - spytała Jane.
- Dwadzieścia cztery godziny. To jej pierwsze dziecko, ale...

Maurice był świadkiem może dziesięciu porodów, podczas gdy Jane pomagała przy setkach - w tej sytuacji to ona była ekspertem. Szybkie badanie potwierdziło jej podejrzenia: poprzeczne zatrzymanie płodu. Innymi słowy, dziecko utknęło w drodze.

- Trzeba jej zrobić cesarskie cięcie - orzekła Jane. - Mam obudzić Davida i poprosić go o pomoc?

- Byłbym wdzięczny - odparł szczerze Maurice. - Nie czuję się na tyle kompetentny...

Jane z rozczuleniem popatrzyła na śpiącego spokojnie Davida, a następnie westchnęła i energicznie nim potrząsnęła. Zdumiony, otworzył wreszcie oczy. Spał zaledwie od godziny.

- Davidzie, musisz natychmiast zrobić cesarskie.

Powoli docierał do niego sens jej słów.

- Tylko umyję twarz i zaraz przychodzę - odrzekł, wstając. - Bądź dobrą instrumentariuszką i przygotuj narzędzia.

Ponieważ nie był to szpital, tylko istne pole bitwy, David musiał zastosować znieczulenie, dokanałowe w kręgosłup. Na szczęście wszystko poszło dobrze i już po chwili trzymał w rękach zdrową dziewczynkę, którą - z braku łóżeczka - ułożono na specjalnie przygotowanym stole.

Jane uśmiechnęła się do wyczerpanej matki.

- Ma pani śliczną córeczkę - powiedziała do niej po francusku.

Przez następne cztery dni warunki atmosferyczne nie uległy poprawie. Doktor Berfay, Maurice, David i Jane pracowali na zmianę, harując po kilkanaście godzin na dobę.

Prawie wcale go nie widywała. Tylko z rzadka wymieniali przelotny pocałunek albo na moment się do siebie przytulali.

Nigdy przedtem nie była równie zmęczona. Ale pewnego ranka usłyszeli wreszcie warkot silników i do sali wszedł mężczyzna w mundurze. David wyrósł przy niej jak spod ziemi i poklepał ją po ramieniu.

- No, przyjechali profesjonaliści. Możemy wracać!

Przejęcie rannych nie zabrało wiele czasu. Szybko się też pożegnali i wymienili podziękowania. Jane pocałowała w policzek Maurice'a, który w ciągu pięciu ostatnich dni przeszedł chrzest bojowy. Doktor Berfay zostawał na miejscu i cieszył się, że nareszcie będzie wśród swych starych towarzyszy. Karetki zabrały w pierwszej kolejności rannych z najpoważniejszymi obrażeniami.

Kiedy Jean-Claude odwiózł ich w końcu z powrotem do hotelu, była czwarta po południu.

- Byłbym zaszczycony - zwrócił się do nich - gdyby zechcieli państwo przyjąć zaproszenie na kolację. O której?

- Najwcześniej za dwie godziny - odrzekła bez namysłu Jane. - Przede wszystkim muszę wziąć kąpiel, gorącą i bardzo, bardzo długą. No i te moje włosy!

- Zatem oczekuję państwa o szóstej. - Jean-Claude strzepnęła niewidoczny pyłek z poplamionego ubrania. - Ja też z rozkoszą się przebiorę.

Jane napeściła wody do wanny. W pokoju rozłożyła na łóżku haleczkę, którą dostała od Sue, i nową, wyjściową

sukienkę. Na toalecie przed lustrem ustawiła przybory do makijażu.

David zbliżył się, chcąc ją pocałować.

- Nie! - zaprotestowała głośno. - Pocałujesz mnie, gdy znów będę wyglądać jak człowiek. Na razie jestem zmęczona, brudna i brzydko pachnę.

- Wcale, mi to nie przeszkadza - powiedział z uśmiechem, i tak ją całując.

Kąpiel była łącie królewska. David przyniósł jej nawet do łazienki filiżankę gorącej herbaty. Przez czterdzieści pięć minut Jane leżała nieruchomo w pianie, czując, jak woda wypłukuje z niej zmęczenie. W końcu zreflektowała się, że David również chce się wykąpać, i pośpiesznie umyła włosy. Wyszedłszy z wanny, owinęła się dużym ręcznikiem, z mniejszego zaś zrobiła turban na głowie. Gdy weszła do pokoju, zastała Davida smacznie śpiącego w szlafroku na łóżku.

- Obudź się - szepnęła. - Czas na kąpiel.

Nieprzytomnie zamrugał oczami.

- Wcale nie śpię, chciałem tylko... Tak, natychmiast idę do łazienki.

Kiedy zeszli na dół, Jean-Claude powitał ich w nienaganym stroju wieczorowym i poprowadził do stolika. Sięgnął po butelkę z ciemnego szkła i wskazał etykietkę Davidowi.

- Trzymamy kilka na specjalną okazję. Myślę, że dziś właśnie taka się nadarza.

David oniemiał.

- Ale doprawdy... - wykrztusił. - Ten rocznik...

Jean-Claude odkorkował butelkę i nalał wina do kieliszków.

- Z najlepszymi życzeniami i podziękowaniem za wszystko, co państwo zrobili. Na koszt firmy. - Elegancko się uklonił.

- W takim razie proszę usiąść razem z nami - powiedział David z uśmiechem.

Na twarzy Jean-Claude'a odmalowała się zgroza.

- Ależ skąd, nie mógłbym!

- Naprawdę, bardzo prosimy - nalegała Jane.

- No, w drodze wyjątku... - Jean-Claude usiadł na chwilę z nimi, ale widać było, że czuje się w tej sytuacji nad wyraz niezręcznie.

Posiłek był prawdziwym rajem dla podniebienia - zwłaszcza po pięciu dniach jedzenia byle czego. Jane cieszyła się wytwornością otoczenia, dyskretną obsługą, widokiem smukłych świec płonących na stoliku, blaskiem szkła i sreber.

Gdy kończyli jeść, ponownie podszedł do nich Jean-Claude.

- Są dla pana wiadomości, doktorze Kershaw. Z pańskiego szpitala.

- Nieważne - orzekł David. — Przecież jutro wracamy.

Wtedy będę się martwił szpitalem. Kolacja była cudowna.

- Zwrócił się do Jane. - Czy zakończymy ją kieliszkiem brandy w barze?

- Ty idź do baru, a ja wrócę na górę. Zobaczymy się w pokoju.

- Będę za dziesięć minut.

Rozkoszując się bukietem wybornego trunku, David uśmiechnął się do siebie. Rano tego dnia marzył wyłącznie o tym, żeby położyć się do łóżka i spać przez okrągłą dobę. Ale posiłek, wino i brandy zrobiły swoje. Owszem, chce iść do łóżka, ale bynajmniej nie po to, by spać... Myśl, że Jane

oczekuje go na górze, działała na niego elektryzująco. Dopił brandy i ruszył do pokoju.

Nigdy przedtem nie spotkał kobiety tak promiennej, spontanicznej, pełnej entuzjazmu. I jak dotąd żadna nie pociągała go aż tak bardzo. Uwielbiał zarówno jej ciało, jak i sposób bycia. Czuł, że z nią nareszcie będzie szczęśliwy. I w końcu będą się kochać; właśnie tak - kochać się, a nie uprawiać seks. Teraz był już zupełnie pewien swoich uczuć do niej.

Po cichu wszedł do pokoju i zamknął drzwi. Na krześle zobaczył nie tylko sukienkę Jane, ale również jej koronkową czarną bieliznę. Pomieszczenie spowijał półmrok, jako że włączona była tylko malutka lampka przy łóżku. W jej świetle, na poduszce, złościście połyskiwały długie włosy Jane.

Podszedł do łóżka, nachylił się i pocałował ją delikatnie w policzek. Nie poruszyła się. Miała zamknięte oczy i spokojnie, głęboko oddychała.

Rozebrał się i stał nagi przy łóżku. W dużym lustrze po drugiej stronie pokoju dostrzegł kątem oka swoje odbicie. Zobaczył nawet, jak bardzo jest podniecony...

Jeszcze raz pocałował ją w policzek. Z największym trudem powstrzymał się od pocałowania jej w usta, od pieszczenia jej piersi, brzucha, ud. Bóg jeden wie, jak silną odczuwał pokusę i jak wiele go kosztowało, żeby jej nie ulec...

A Jane spała jak zabita.

Przez dłuższą chwilę stał tak, patrząc na nią, a potem ciężko westchnął.

Obszedł łóżko i wśliznął się pod kołdrę obok niej. Zgasiwszy lampkę, leżał w ciemnościach z otwartymi oczami, nie mogąc zasnąć.

Nazajutrz Jane obudziła się, czując w nozdrzach smakowity aromat kawy. Zaspana, nieprzytomnym wzrokiem rozejrzała się po pokoju.

- Już jest rano - powiedziała.

- Wypij kawę. - David uśmiechnął się do niej. Był ubrany; jego bagaż stał na środku pokoju. - Za dwadzieścia minut autokar zabierze nas na lotnisko - ciągnął - więc masz kwadrans na spakowanie się. Specjalnie nie budziłem cię wcześniej, bo pomyślałem, że wolałabyś się wyspać niż zjeść śniadanie.

- Dobrze zrobiłeś. Rzeczywiście byłem zmęczona, ale teraz czuję się już lepiej. Ale, ale, Davidzie... co wydarzyło się wczoraj po kolacji?

- Nic. Położyłaś się do łóżka, a gdy wróciłem na górę, mocno spałaś. Więc poczekałem chwilę, a potem też się położyłem. I jakieś trzy godziny później zasnąłem.

- Ale przecież... Tak się cieszyłam, że wreszcie... Czekałam na to.

- Ja również - przyznał zmienionym głosem.

Nie wytrzymała - wybuchnęła głośnym śmiechem. Po chwili on także się roześmiał, choć nie tak serdecznie i beztrąsko.

- Oczywiście teraz znów nie ma na to czasu - westchnęła, rozpościerając ramiona. - Chodź tu i pocałuj mnie, a potem wstanę i szybko się spakuję. I pamiętaj, że jutro też jest dzień...

- Na razie wciąż jeszcze przeżywam wczorajsze rozczarowanie - wyznał z lekkim smutkiem, ale pocałował ją.

Gdy żegnali się z Jean-Claude'em, ten nalegał, by obiecali, że jeszcze kiedyś przyjadą. Napomknął, że wielu ludzi z Vallere chciałoby im podziękować.

- Wrócimy, wrócimy - zapewniła go Jane. - Przecież wcale nie jeździłam na nartach!

W drodze na lotnisko mieli przejechać nowym mostem, dopiero co zbudowanym przez francuskich żołnierzy. Jane wyjrzała przez okno i nieufnym spojrzeniem omiotła kruchą na pierwszy rzut oka konstrukcję.

- Zamykam oczy, wolę tego nie widzieć - rzekła do Davida, który jednak jej nie odpowiedział, ponieważ spał.

W samolocie David był zdenerwowany.

- Jesteś zmęczony? - spytała. - Czy rozczarowany wczorajszym wieczorem? Czy zły, że nie pojeździłeś na nartach?

- Nie chodzi o wczorajszy wieczór. Spałaś tak słodko, że nie miałem serca cię budzić. A narty to też drobiazg. Szkoda tylko, że nie miałaś okazji włożyć swojego nowego kombinezonu.

- Mam nadzieję, że to nic straconego. Chyba jeszcze razem wyjedziemy, prawda?

- Niewykluczone...

- Niewykluczone? Co chcesz przez to powiedzieć? Mam wrażenie, że czegoś mi nie mówisz.

- To prawda - westchnął. - Muszę ci się do czegoś przyznać, Jane. Okłamałem cię: ja wcale nie wygrałem tych wakacji. Wiedziałem, że nie zgodziłabyś się, żebym za ciebie zapłacił, więc wymyśliłem tę historię...

Milczała przez chwilę, a potem powiedziała:

- Nie lubię, jak się mnie okłamuje. Czy chciałbyś się też wypowiadać z jakichś innych kłamstw?

- Nie ma żadnych innych.

- Miło mi to słyszeć, to dla mnie prawdziwa ulga. No, chyba że kłamiesz również co do tego... Widzisz, Davidzie, problem w tym, że nie można ci ufać. Zadałeś sobie tyle trudu

tylko po to, żeby się ze mną przespać? Jesteś pewien, że byłabym tego warta?

- Nie mów tak! Wiesz, że ja wcale...

- To musi być dla ciebie straszne, wydać tyle pieniędzy, i wszystko na nic! Może mam ci zwrócić połowę kosztów?

- Jane! - Zezłościł się nie na żarty i mocno schwycił ją za ramię. - Mnie samemu nie podobało się, że kłamię. Ale chciałem, żebyśmy wyjechali razem gdzieś, gdzie moglibyśmy...

- Przede wszystkim mnie puść - powiedziała chłodnym tonem. - A tak w ogóle, to czemu mi się do tego przyznałeś?

- Bo nie chciałem, żeby to kłamstwo nas dzieliło. Ostatnie kilka dni potwierdziło tylko to, co już dawno podejrzewałem: że jesteś najcudowniejszą istotą, jaką spotkałem. Chciałem tro-

chę z tobą pobycć sam na sam, żebyśmy się poznali.

- Ależ my się już znamy, Davidzie. I nie powiem, żeby podobało mi się to, co wiem. Okłamałeś mnie, więc nie mogę ci ufać. Wszystko między nami skończone.

Zapadła długa cisza.

- Zasłużyłem sobie na to - odezwał się wreszcie - toteż nie będę się z tobą spierał. Ale mam nadzieję, że jeszcze zmienisz zdanie. Wierz lub nie, ale ja cię naprawdę kocham.

Pół godziny później westchnęła i wzięła go za rękę.

- Musimy pozostać przyjaciółmi. Przede wszystkim dlatego, że to jedyny sposób na to, żebym kiedykolwiek włożyła ten śliczny kombinezon. Ale nie myśl, że ci przebaczyłam. I strzeż się: pewnego dnia ja też zrobię coś za twoimi plecami.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Podeszła do nich stewardesa.

- Doktor Kershaw i panna Cabot? - spytała z uroczym uśmiechem. - Nie wiedziałam, że mamy na pokładzie takich sławnych ludzi; przyniosłabym państwu szampana. Jest dla państwa wiadomość od pana Moretona: chciałby zamienić z państwem kilka słów przed rozpoczęciem konferencji, którą zorganizował.

- Kto niby jest sławny? - zdziwiła się Jane. - I kto to jest pan Moreton? I o jaką konferencję chodzi?

David jęknął cicho.

- Chyba się domyślam... - Spojrzał na stewardesę. - Poprosimy o brandy, dobrze?

Stewardesa natychmiast spełniła to życzenie.

- O Vallere pisali we wszystkich europejskich gazetach - zaczął David. - Brytyjscy dziennikarze wyczytali w nich pewnie nasze nazwiska. Lekarz i pielęgniarka wyjeżdżają na wakacje w góry, lawina zasypuje wioskę, więc spędzają tydzień na pomaganiu rannym. Romans i sensacja w jednym; to świetnie sprzedająca się historia...

- O mój Boże - przeraziła się Jane. - A ja powiedziałam, że wyjeżdżam do krewnych w Yorkshire! Przyłapali mnie na kłamstwie. Będę mieć kłopoty, tak jak Megan.

- To nie to samo, ty jesteś bohaterką. Nie będą ci zadawać kłopotliwych pytań.

- Owszem: będą chcieli wiedzieć, w jakim charakterze wyjechałam z tobą na ten urlop. Dobry Boże, nie chcę nikogo widzieć, z nikim rozmawiać. Ucieknijmy przed nimi, dobrze? I w ogóle kto to jest ten cały Moreton?

- Znam go, to poważny facet. Jest rzecznikiem szpitala na forum publicznym. Bardzo sensownie sobie poradził z tą sprawą Megan i Liffleya. Chyba powinniśmy zrobić to, czego od nas oczekuje.

- Ale on chce, żebyśmy rozmawiali z dziennikarzami! Na pewno zechcą nas sfotografować.

- Jeśli się z nimi spotkamy i damy im to, czego chcą, to szybko zostawią nas w spokoju. Ta konferencja nie będzie taka straszna. W odróżnieniu od tego, co przytrafiło się Megan, nad tobą nie będą się znęcać.

- Ja po prostu nie cierpię dziennikarzy! Ale dobrze, zrobimy, jak mówisz. Tylko proszę, nie nazywaj mnie bohaterką: wykonywałam jedynie swój zawód.

Przytulił ją na pociechę.

- Wypij brandy. Wiesz, dla kuraju.

Pan Moreton wyszedł im na spotkanie i okazał się całkiem miłym człowiekiem.

- Szczerze mówiąc, szpitalowi przydałaby się dobra reklama - powiedział - zwłaszcza po tej aferze z Liffleyem. Sami państwo najlepiej wiedzą, co powiedzieć, więc nie będę niczego sugerował. Zaznaczę tylko, że nie zaszkodzi, jeśli będzie wiadomo, z jakiego państwo są szpitala.

- Ja w ogóle nie mam ochoty się odzywać - wyznała Jane.

- Bardzo panią proszę. - Pan Moreton sympatycznie się do niej uśmiechnął. - Nie tylko zaoszczędzi to nam kłopotów, ale i może pomóc.

- No dobrze - mruknęła. - Może coś tam wtrącę, ale to przede wszystkim David ma odpowiadać na pytania. A na razie idę do toalety, żeby przypudrować nos.

Kilka minut później wraz z panem Moretonem weszli do sali, w której na małym podium stały dwa krzesła i podłużny stół. Rozglądając się, Jane z przerażeniem stwierdziła, że wszędzie pełno jest mikrofonów, aparatów fotograficznych, kamer...

To nie będzie zbyt miłe, pomyślała, siadając na krześle.

Po konferencji prasowej pan Moreton zaofiarował się, że odwiezie ich do domu. Ponieważ jednak Jane przed wyjazdem zostawiła swój samochód na parkingu, nie skorzystali z jego propozycji.

- Nie było tak źle, prawda? - odezwał się David, gdy ruszyli. - Dziennikarze byli całkiem uprzejmi i nie zadawali niezręcznych pytań.

- Tyle że teraz nasz romansik nie jest już żadną tajemnicą! I cały czas mówiłeś o mnie jako o swojej „narzeczonej”. Czyli że powinniśmy być zaręczeni. A potem powinniśmy się pobrać. Powinieneś poprosić mnie o rękę. A ja powinnam się zgodzić. Dobrze, że nie było widać moich dłoni; zauważyliby, że nie mam pierścionka...

- Masz mi za złe, że tak cię nazwałem?

- Owszem. Bo będę musiała strasznie się tłumaczyć przed rodziną i przyjaciółmi. No i będę musiała zerwać te fikcyjne zaręczyny...

- Wobec tego przykro mi. Myślałem po prostu, że szanujący się lekarze i pielęgniarki nie sypiają z sobą, dopóki nie są zaręczeni.

- Wcale mi nie do śmiechu! Muszę jakoś przez to przebrnąć. Ty jesteś mężczyzną, tobie to nie szkodzi. Będę na okładkach wszystkich gazet w tym kraju!

- Na pewno ładnie wyjdiesz na zdjęciu, więc nic się nie przejmuj... - Głos mu spoważniał. - Ale nie zapominajmy o najistotniejszym: bez naszej pomocy ludzie z Vallere ucierpieliby jeszcze bardziej. Więc dobrze, że mogliśmy im pomóc. Co więcej, założę się, że ta dziewczynka, która się tam wtedy urodziła, będzie nosiła twoje imię; po francusku to Jeanne. Nie cieszysz się z tego, co zrobiliśmy?

- Oczywiście, że się cieszę - odrzekła, wciąż jeszcze trochę nadąsana. - I myślę sobie, że nie powinnam już być instrumentariuszką, tylko pomagać przy katastrofach. To niezwykle ciekawe zajęcie, nie sądzisz? No i podróżowałabym po całym świecie.

- Może i tak. Ale pamiętaj, że ze świecą szukać takiej instrumentariuszki jak ty.

Niedługo potem zajechali przed dom w Ransome's Wharf. Jane otworzyła bagażnik, w którym leżały torby Davida.

- Wciąż jesteśmy na urlopie - powiedział. - Do poniedziałku rano. Może wpadniesz i spędzisz ten czas ze mną?

Patrząc na niego, uświadomiła sobie dwie rzeczy naraz: po pierwsze, że to ona uparcie nazywała ich znajomość niezobowiązującą, a nie David; po drugie, że po tym, co spotkało go ze strony Diany, David ma prawo być ostrożny.

Uzmysłowiła sobie także, że David nie jest już nierozważ-

nym młodym doktorciem, tylko dojrzałym mężczyzną, który swoje przeżył i wycierpiał i który dobrze wie, czego chce. I który wytrwale powtarza, że ją kocha - tak, właśnie ją, Jane Cabot, a nie jakieś tam inne kobiety. Nagle zrozumiała, że podczas konferencji David przedstawił ją jako swoją narzeczoną i dlatego, że naprawdę darzy ją poważnym uczuciem, i dlatego, że chciał oszczędzić jej kąśliwych uwag i komentarzy.

W końcu przyszło jej do głowy to, co już od dłuższego czasu powinno być dla niej oczywiste: że David, mimo że tego chciał, zapewne nie miał odwagi jej się oświadczyć - ale jeśli da mu szansę, najprawdopodobniej to zrobi...

- Dobrze - odparła nareszcie. - A więc chodźmy.

Było chłodne popołudnie i zaczynało już zmierzchać, ale w mieszkaniu panowało przyjemne ciepło. Podczas gdy Jane dzwoniła do koleżanek, by uprzedzić je, że nie wróci do domu, David krzątał się po kuchni.

- Grzanki z serem i zupa z puszki, jak na pikniku - oznajmił. - No i oczywiście wino.

- Nie to co wczorajsza kolacja, ale towarzystwo równie sympatyczne - odrzekła z uśmiechem.

- Więc rozumiem, że nie tęsknisz za Jean-Claude'em?

Po posiłku ustawili kanapę naprzeciwko balkonu i usiedli . na niej obok siebie, patrząc na rzekę.

- Szybka kąpiel i do łóżka - powiedziała, ziewając. - Mogę zostać na noc?

- Wiesz, że zawsze jesteś tu mile widziana. Może ja wykąpię się pierwszy? Wtedy to ty będziesz musiała zdecydować, czy mnie obudzić...

- Możemy uniknąć tego dylematu - orzekła po krótkim namyśle. - Twoja wanna jest duża, wykapiemy się razem.
- Fantastyczny pomysł, że też sam o tym nie pomyślałem! - Zaczął rozpinąć jej bluzkę. - Z przyjemnością pomogę ci się rozebrać...

Wszedł do wanny, a ona po chwili do niego dołączyła, opierając się plecami o jego umięśniony brzuch. Oplótł ją nogami na biodrach, a rękoma... Jego ręce były po prostu wszędzie; pieściły ją, masowały, szorowały mydłem, splukiwały z niej pianę.

Wyszedłszy z wanny, sięgnęła po ręcznik.

- Tak gruntownie umyło mnie po raz ostatni, gdy byłam dzieckiem - wyznała ze śmiechem. - Zostań w wodzie i teraz sam się wyszoruj. Obiecuję, że gdy do mnie przyjdiesz, nie będę spała.

W sypialni wyjęła z torby nową białą koszulkę nocną, którą kupiła specjalnie z myślą o Davidzie. Zapaliła małą lampkę, położyła się do łóżka i czekała na niego.

Była odrobinę zdenerwowana, ale wiedziała, że to nieuniknione - i bardzo, bardzo tego chciała.

Wszedł do sypialni owinięty ręcznikiem, który szybko opadł na podłogę. Zanim doszedł do łóżka, zdążyła spostrzec, jak bardzo jest podniecony. Namietnie, niemal nieprzytomnie się całując, przyłgnęli do siebie całym ciałem, tak by dotykać się każdym milimetrem skóry. Oboje byli rozgrzani kąpielą i rozpaleni pożądaniem.

- Nie musimy się śpieszyć - szepnęła David, układając ją na plecach.

Muskał ustami jej czoło, powieki, szyję, ramiona. Błądził po całym jej ciele, pieszcząc cudowne krągłości, zagłębiając

się w najtajniejsze zakamarki. Choć wydaje się to niemożliwe, było to zarazem kojące i ekscytujące. Stopniowo jednak pożądanie brało górę nad ukojeniem. Mocno schwyciła go za ramiona i przyciągnęła ku sobie. Prężąc się, otworzyła się dla niego, gotowa już nie tylko brać, ale i dawać.

- Tak bardzo cię pragnę - szepnęła.

Był w niej i z nią, czuła, że podróżują razem. Teraz już nic nie mogło ich powstrzymać ani im przeszkodzić. Cudownie zgrali się ze sobą i jednocześnie osiągnęli szczyt. Potem leżał na niej przez jakiś czas, wilgotny od potu, rozkosznie zmęczony. Słyszała bicie jego serca i odczuwała spełnienie.

- Kocham cię - wymamrotał i w jednej chwili zasnął.

Jane obudziła się wcześniej, szczęśliwa i z jasnym umysłem. David wciąż spał, gdy wstała z łóżka i na palcach poszła do łazienki. W kuchni zrobiła herbatę, a następnie otworzyła kilka szuflad w poszukiwaniu dużego i ostrego noża.

Gdy wróciła do sypialni, David siedział na łóżku, przecierając oczy.

- Ja powinienem był to zrobić - powiedział, patrząc na dwa dymiące kubki. - Po co ci mój najlepszy nóż? - W jego głosie słychać było zaciekawienie, nie strach.

Postawiła kubki przy łóżku i odwróciła się w stronę krzesła, na którym poprzedniego wieczoru zostawił spodnie.

- Jestem dziś usposobiona symbolicznie.

Z rosnącym zdumieniem patrzył, jak Jane wyciąga ze szlufek gruby skórzany pasek i nacina go nożem.

- Wreszcie się ze mną przespałeś, jestem twoją kolejną zdobyczą. Chyba tak właśnie postępują mężczyźni? Każde nacięcie to inna kobieta, prawda?

Z ponurą miną wstał z łóżka i odebrał jej nóż.

- Niech ci będzie, tak postępują mężczyźni.

Wziął do ręki jej leżące na krześle dzinsy i zrobił nacięcie na pasku.

- Co ty wyprawiasz? - wykrzyknęła, ale zaraz uznała, że miał do tego prawo: zrobił przecież to samo co ona.

- Ja też jestem usposobiony symbolicznie. I to nie ty jesteś moją zdobyczą, tylko ja twoją. Mówiłem ci, że cię kocham, ale nie chciałaś mnie słuchać. Próbowałem ci to okazać, ale ty wciąż rzucałaś mi w twarz tę „luźną znajomość”. Więc posłuchaj mnie chociaż teraz: w moich uczuciach nie ma nic przygodnego i jestem gotów do zobowiązań. Naprawdę cię kocham. Wyjdiesz za mnie?

Mogłaby to wszystko obrócić w żart, ale...

- Oczywiście, że za ciebie wyjdę. Nikt nie uszczęśliwi mnie bardziej niż ty.

Zbliżył się powoli i przytulił ją.

- Zostaniemy razem... na zawsze?

- Na zawsze, mój kochany.

EPILOG

- Mieliśmy nadzieję utrzymać nasze zaręczyny jakiś czas w tajemnicy... - zwróciła się Jane do Sue i Megan.

- Ogłoszenie ich w telewizji i we wszystkich gazetach to ciekawy sposób utrzymywania tajemnicy - zauważyła z przekąsem Sue. - Ale tak czy owak, gratuluję.

- Gdzie masz pierścionek? - spytała Megan.

- Kupimy go w sobotę. Zażyczyłam sobie, żeby był z ja-deitem; to taki oryginalny kamień. I wiemy już, jak spędzimy miesiąc miodowy: pojedziemy na narty w Alpy.

Niedługo potem wprowadziła się do Davida i co wieczór siadali na kanapie, by razem patrzeć na rzekę.

Pewnego dnia - trzy miesiące później - Jane czekała w domu, aż David wróci z pracy. Słyszając, jak wchodzi, schowała pod poduszkę jakiś list.

- Herbata czeka! - zawołała do niego z pokoju. - Chodź tu i usiądź ze mną.

Usiadł, pocałował ją na powitanie i sięgnął po herbatę.

- Chcę ci coś przypomnieć - powiedziała. - Kiedy wracaliśmy samolotem z Alp, przyznałeś mi się do kłamstwa.

Przebaczyłam ci, ale ostrzegłam cię wtedy, że pewnego dnia ja również zrobię coś za twoimi plecami.

- Chcę tego samego, co i ty, więc nie ma problemu - odrzekł z uśmiechem.

- Tym lepiej. Bo właśnie zrobiłam coś w tym stylu...

Wspomniałam ci kiedyś, że omal nie wyszłam za Johna Gilmore'a. Nie przeszkadza ci, że z nim mieszkałam?

- Naturalnie, że nie. Ja też pomieszkowałam z różnymi kobietami. Uważam tylko, że ten Gilmore był głupi, skoro pozwolił ci odejść.

- Zrobił prawdziwą karierę w Bostonie, pracuje z największymi sławami świata medycznego. - Głęboko zaczerpnęła powietrza. - Napisałam do niego, Davidzie.

- Widocznie miałaś jakiś ważny powód - odparł spokojnie, troszkę zdziwiony, ale nie zaniepokojony. - Chcesz go zaprosić na nasz ślub?

- Nie wiem. Może... Ale przede wszystkim chcę, żebyś się z nim zobaczył. Wysłałam mu kopię twojej historii choroby. Jego szef słynie z tego, że z powodzeniem przyszywa oderwane

ręce... Przejrzeli te papiery i orzekli, że są w stanie ci pomóc. Ich zdaniem, będziesz jeszcze mógł zostać chirurgiem.

Zapadła cisza, która zdawała się trwać całą wieczność.

- Zrobiłaś to... dla mnie?

- Tak. Pomyślałam, że to cię uszczęśliwi.

Pocałował ją, a potem szeroko się uśmiechnął.

- Obydwu ich zaprosimy na nasz ślub.